



# DZIŚ i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1,—

Rok IX

Warszawa, 5 lipca 1953 r.

Nr 27 (397)

Zbigniew CZAJKOWSKI

# SYMBOL POKOJU

OD IGOLOMI DO NOWEJ HUTY

KRAKÓW i Nowa Huta tworzą obecnie jeszcze dwa odrębne miasta o tak różnym wieku, genezie, obliczu i charakterze, że ich spodziewane scalenie, co zresztą wydaje się być kwestią najbliższych już lat, nasuwa szereg pytań i refleksji, dotyczących perspektywy takiego związku.

Niemal każdy, kto odbywa codzienną wędrowkę z Krakowa do Kombinatu, dostrzega wciąż narastające „przesuwanie się” miast ku sobie po osi łączącej je drogi. Nawet nowiejuszowi, odbywającemu po raz pierwszy



Rosną nowe domy

„krajoznawczą” wycieczkę, wydaje się oczywistym, że rzadka jeszcze zabudowa wzdłuż drogi z Krakowa do Nowej Huty z czasem zostanie zapełniona zwartym kompleksem budynków. Zastąpią one obecne czynszowe kamienice i małe domki, kryte tu i ówdzie słomą, rozproszone tak, jak to się spotyka na wszystkich niemal przedmieściach wielkich miast. Przyszłe domy zasłonią też bezładną zabudowę fabryczną, brzydkie hale i kominy, poplątane zygzakami plotów, spoza których przezierną wieś i jej zielone polećka, opadające na południe, w stronę Wisły.

Przeszłość między Krakowem a Nową Hutą przeżywa się niemal skoki. Już do przeszłości należą wspomnienia, gdy wyjazd do budującego się miasta należał do kategorii „trudnej i dalekiej wyprawy”. Dziś wyjazd jest się zupełnie niewłaściwie nazwać na wet podróżą jazdę szybkimi, nowymi tramwajami, które w ciągu pół godziny podwożą pracowników pod samą bramę Kombinatu, a więc w znacznie krótszym czasie niż trwa, tym razem naprawdę podróż, z Bielna lub Służewa do śródmieścia stolicy.

Tramwaj nowohucki, nie dojeżdżając do Kombinatu, dociera najpierw do miasta, które przecina niemal w jego centrum. Właściwie trudno dziś nazwać „centrum” to, czego jeszcze nie ma. Wzdłuż drogi, na miejscu, gdzie wyobraźnia architektów rysuje plany przyszłego placu, ratusza, wysokich gmachów, leżą na razie sterty butulca. Tu i tam trwają prace przy wykopach pierwszych fundamentów, w jakimś miejscu wyskakują nawet czerwone mury „śródmieścia”. Ufajcie, że w tym roku nie będzie z „centrum” No-

wej Huty rozciągała się taka perspektywa. Dzisiejsza zamieszkała część miasta, która liczy już około 35 tys. mieszkańców, leży, jadąc z Krakowa, po prawej stronie drogi, w kierunku zasłoniętej obecnie domami wsi Mogiła. Jedyny widoczny z dala znak dawnych zabudowań, to wieżyczka klasztoru i kościół Cystersów. Widok na Wisłę przesłonięty jest ścianą białych domów, wyrastających z soczystej zieleni murawy. Dojście jednak do nich stwarza z niedalekiego wyjazdu wałoby się obrazu zjawisko jakiegoś fałsu. Widzi się domy, zieleńce, poruszających się między nimi ludzi, zawieszającą na sznurze białą kołbę, widzi się więc normalne miasto z normalnym życiem, a jednak... nie można do niego dojść... Człowiek chciałby przeskoczyć zwały gliny, kałużę wody, błota, sterty budulca, aby móc zaszyć się w labirynt wolno stojących domów, wyrosłych jak ogromne grzyby pośród kapitałnie zielonej trawy. Odważni, których zresztą w Nowej Hucie nie brak, stają przed trudnym, trudniejszym jeszcze problemem... orientacji. Dzisiejsza Nowa Huta składa się z szeregu dzielnic-osiadli, nazwanych dość osobliwie, niezbyt poła wielkiej szachownicy: A-1, A-O, C-1...

Z drugiej strony głównej drogi, w kierunku północnym od przyszłego śródmieścia, wznosi się drugie, na razie jeszcze czerwone świeżą cegłą i niezamieszkałe miasto, składające się z kompleksu kilkudziesięciu wykończonych pośpiesznie czterech i pięciopiętrowych gmachów. Te dwie, oddalone od siebie o przeszło kilometr, dzielnice, zostaną połączone przyszłym śródmieściem.

Kombinat leży kilometr dalej, na płaskowyżu, jakby na miniaturowej Górze Stołowej. Okolniczy teren jest ciężki — sama niemal glina — skąpo po rośnięty drzewami. Jedyne trawy zachowuje żywą zieloność kontrastującą z szarogliniastą okolicą.

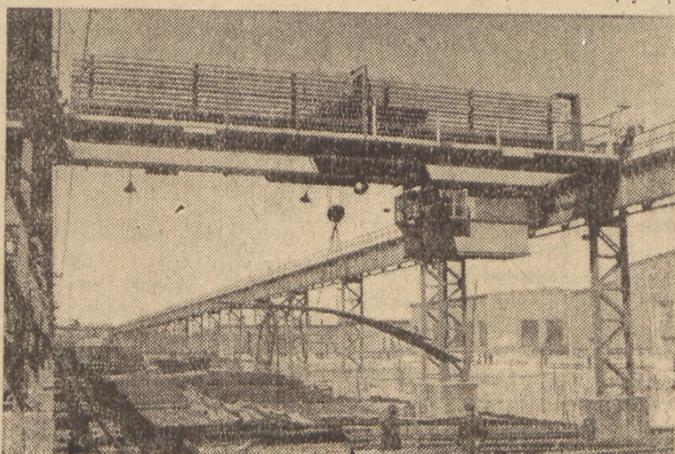
Buildunki i hale Kombinatu są doskonale widoczne z miasta. Właściwie jednak widać tylko ich kraniec, gdyż las rusztowań, okalający rozpoczęte w szerokim promieniu budowlę, ucieka już spoza zasięgu oka. Kombinat ciągnie się dalej, na wschód, w stronę Igołomi, a więc odkrytych nie dawno przez archeologów terenów starej, prasłowiańskiej huty. Tysiąc pięćset lat temu tereny okoliczne służyły do produkcji wyrobów garncarskich, nie gorszych wcale pod względem jakości i formy od słynnej ceramiki rzywskiej. Tutaj też, w dymarkach, starszych siostrzyczach dzisiejszych pieców hutniczych, przetapiano rudę żelazną. Około Nowej Huty mają więc swą tradycję przemysłową, którą zamazali później wieki średnie. Znaczenie i splendor średniowieczny spłynął na wznoszący się niedaleko gród wawelski i na miasto, w którego Sukiennicach i składach gromadziły się towary, pochodzące z różnych stron i różnych krajów. Tutaj bowiem zbiegały się dawne szlaki handlowe, prowadzące na południe, przez Grody Czerwienie w stronę Złotej Ordy, na północ, po sambijski bursztyn, jak też na wschód, na Litwę i Ruś, albo też na zachód, poza Odrę i Nysę, do cesarstwa.

Nowa Huta wykorzystuje dziś ten przywilej geograficznego położenia, stała się ośrodek, w którym spotykać się będą: śląski węgiel, małopolski gaz ziemny, ciągniony rurociągami z Jasła i Krosna, radziecka ruda żelazna z Krzywego Rogu i wiślana woda. Te elementy, konieczne do życia wielkiego Kombinatu żelaza i stali, zadeterminowały o usytuowaniu go pod Krakowem.

### NA PLACU BUDOWY

TRAMWAJE kończą swój bieg przed bramą Kombinatu. Co parę minut wysypuje się z nich gromadka młodych ludzi, która przez chwilę stoi skosternowana panującym wokół ruchem i tempem życia. Dalszą drogę wskazuje im napis na wysokiej, wejściowej wieży: NOWA HUTA SYMBOLEM POKOJU.

Nowa Huta chłonie bez przerwy nowe kadry zgłaszających się ludzi, przybywających ze wszystkich niemal stron Polski. Oczywiście największy procent stanowią krakowiaczy, ludzie z krakowskiego, fachowcy i zupełnie surowi, nie wykwalifikowani, dla których praca w Kombinacie będzie dopiero pierwszym zetknięciem się z widłami, piłą i bronią z nowoczesną techniką, przemysłem. Widok znikających w bramie wejściowej przyszłych budowniczych i pracowników Kombinatu nasuwa różne refleksje. Każda przedfabryczna brama, z zegarem, napisem, tablicą i budką dozorczy ma taką swoją iradycję. Przedwzięsiowe tradycje bram wejściowych do Zakładów Scheiblera i Górhmana w Łodzi, Widzewskiej Manufaktury, huty Ferrum, jak i pozostałych setek i tysięcy kopalni, fabryk i zakładów przemysłowych związane były również z tłumami robotników, którzy, niestety, nie zawsze mogli przekroczyć ich próg. Nie zawsze bowiem była praca, natomiast tworzyły się przed bramami fabryk długie sznury bezrobotnych.



Nowa Huta — fragment Kombinatu

Wszystkie zdjęcia C.A.F.

Przekraczając próg Kombinatu wchodzi się na teren wielkiej budowy. Równocześnie następuje osobliwe przekształcenie własnego „ja”. Wydaje się, jakby to „ja” wylamało się z kręgu własnych pragnień i zamiarów i włączyło się w zespół zalogi. Począwszy od pierwszego, spotkanego u bramy wejściowej strażnika, którym jest kobieta, poprzez dziesiątki poznanych w

Kombinacie ludzi, spawaczy, kowali, wytapiaczy, murarzy, szoferów, planistów, wyczuwa się w rozmowie z nimi wagę problemu, który stanowi treść ich życia. Można by to wyrazić krócej i prościej. Głównym zadaniem zalogi Nowej Huty jest tempo. Tempo i jego utrzymanie przybliża termin ukończenia prac budowlanych, tempo pracy pozwala już teraz produkować stal, mimo że poza szeregiem hal Zakładów Remontowo-Mechanicznych piętrzą się jeszcze zwały przerzuconej niedawno kopaczkami gliny. W powietrzu czuć charakterystyczną woń odlewni stali i żeliwa, woń, która tak przepaja mi ubranie, że czuję ją jeszcze w dwa dni później, w pojeździe do Warszawy. Asfaltowymi drogami toczą się sznury samochodów, ciągników, traktorów. Ogromna armia zmechanizowanych pojazdów i urządzeń ciągnie na wschód, dalej, poza gołowe już i produkujące wydziały Nowej Huty, w stronę budującego się jej serca, wielkich pieców.

Mimo ciągłego pomieszania z sobą budowy i eksploatacji daje się zauważyć ład, porządek i planowość. Z czterech stojących w szeregu hal, których wygląd jest świadectwem kolejnego oddawania ich do eksploatacji, każda różni się od poprzedniej otoczeniem. We wszystkich trwa produkcja. Z jednej dochodzi loskot ciężkich młotów, z drugiej zgrzyt suwających się dźwignów, które napowietrzną drogą przewożą w kadiach ciekawą stal, ale przed nimi nie ma jeszcze rabat i kwiatów. Jest tylko równo zasiana trawa. Czyjeś troskliwe ręce zabezpieczyły rzadką jej szczecinę, która z trudem przebija się przez gliniastą powłokę, palikami i drutami. Ma to widocznie chronić przed gąsienicami traktorów, które wyprawiają obok przedziwne harce, zdobywając nierówny i obślizgły teren. Dwie pozostałe hale otaczają kwiaty i wiatle drzewka. Słabe to jeszcze i chwieje się za lada podmuchem wiatru, ale siedzący przed



ręka raz po raz wynurza się spod ziemi i otwierając dłonie sypie ziemię pod sznur podsuwającego się pociągu. A poza nią, z tyłu, znów biały, widocznie administracyjny budynek, znów czerwone hale i znów kolejny proces narastania Kombinatu: gołowa hala, ściany, fundamenty...

Po godzinie wędrowki nogi odmawiają posłuszeństwa. Płaskowyż pozbawiony jest prawie drzew. Te, które są, są dla potrzebny cień chyba nie wcześniej, jak za dziesięć lat. Stońce praży, ubranie przesiąkło spalenizną, w uszach drży łomot młotów i warkot silników. Trudno nawet jest stanąć bezczynnie, gdyż jeśli nie zawadzi cię stalowy sznur, ciągniony napowietrzną drogą przez rozkraczony dźwign, to strąci cię z drogi ciężarowe auto. No, tak! Uwaga! Uskakując z toru przed nadjeżdżającym pociągiem omal nie wpadłem pod hamujące auto. Z budki szofer wyjrzała najpierw wymachująca groźnie ręka szoferki, a potem jego zagniewana twarz. Było mi trochę nieprzyjemnie dostać burę i to w dodatku od szoferki... kobiety.

Do miejsca budowy wielkich pieców dojść jest niemożliwością. Trzeba by chyba ubrać się w gumowy pancerz płaszcz i wysokich butów, aby nie utopił się w glinianych grzędzawiskach. A zresztą kąpiel w żółtym bajorku lub jacyzna gliny w plecach od śmigających aut — to fraszka w porównaniu z gniewem kobiecego szoferki. Rezygnując na razie z tej eskapady zapragnąłem zobaczyć koksownicę. Niestety, już piąty zatrzymany robotnik nie umie mi jej wskazać. Nie wiedzą, pracują bowiem od paru dni. Zmierzyli zresztą mnie nieufnym wzrokiem spoglądając jak na podejrzanego łazika, który nie robi, tylko stoi, ogląda wszystko i zawadza na drodze. W końcu dowiaduję się, że do koksowni jest niewiele, gdyż tylko trzy kilometry. Odległość ta daje tylko skąpe wyobrażenie obszaru Kombinatu. Wraz z urządzeniami i zakładami pomocniczymi będzie zajmował teren równy mniej więcej powierzchni Lublina lub Bytomia. Trudniej natomiast sobie wyobrazić wielkość jego produkcji. Liczba półtora miliona ton stali niewiele mówi. Niewiadam, czy to dużo czy mało. Zestawiając dopiero produkcję Kombinatu z całą produkcją przedwojenną polskiego hutnictwa, nie dochodząca do półtora miliona ton stali można stwierdzić z pewnością: Tak, to rzeczywiście kolos.

(Dokończenie na str. 4)

Tadeusz BIELICKI

# Groza jednej statystyki

DOROCZNE sprawozdania Amerykańskiego Towarzystwa Neurologicznego (The American Neurological Association) należą niewątpliwie do najbardziej przerażających dokumentów, jakimi „poszczycić” się może nasze stulecie. W stwierdzeniu tym nie ma przesady. Posłuchajcie oficjalnych statystyk: W roku 1951 ilość umysłowo chorych mieszkańców

USA oceniano na 760 tys. osób, co daje niesamowitą, wręcz przeciętną prawie 550 obłąkanych na każde 100 tys. ludzi. Lalkowi oderwane liczby mówią jednak niewiele. Ponurej wy mowy nabierają one dopiero wówczas, gdy dane z poszczególnych lat ująć porównawczo dla możliwie długiego okresu czasu. Oto takie zestawienie:

rok	liczba chorych umysłowo w USA	na 100 tps. ludzi
1904	150 000	163
1910	187 000	204
1923	267 000	245
1934	390 000	308
1938	445 000	343
1951	762 000	549

Groza wieje od tych liczb. Oto w ciągu niespełna 50 lat odsetek ludzi chorych umysłowo uległ w USA potrojeniu! W roku 1951 na każdych 182 Amerykanów przypadał 1 pacjent zakładu dla obłąkanych! A przecież liczby przytoczone powyżej nie obejmują wielu setek tysięcy przypadków pomniejszych, nierzestrowanych schorzeń na tle nerwowym.

Takie są fakty. Groźne fakty. Jakież ich tło i jakie przyczyny?

## NOWA „EPIDEMIA“.

Nieustanny wzrost ilości chorych umysłowo jest zjawiskiem dającym się od pewnego czasu zaobserwować w szeregu innych wyżej rozwiniętych krajów kapitalistycznych — ta kież choćby jak Francja czy W. Brytania. W Ameryce proces ten ma jednak tempo i rozmiary szczególnie zatrważające. Toteż tam właśnie zaczyna się coraz częściej z wielkim hałasem bić na alarm. W prasie codziennej i periodycznej ukazują się pod charakterystycznie wrzaskliwymi i „nurozróżnymi” krew w żyłach” tytułami najrozmaitszego kalibru mniej lub więcej uczone dyskusje na temat nowej „epidemii” — stokrotnie gorszej od epidemii zaraźliwych — zagrażającej samym podstawom egzystencji współczesnego społeczeństwa. Obok słów „rak” i „choroby serca” wymienia się coraz częściej „insanity” (obłąd) jako trzeciego „wroga nr. 1” ludzkości. I choć groźna sytuacja maluje się nie raz z typową dla umysłowości amerykańskiej przesadą — suche, bezlitośnie rzeczowe statystyki dają istotnie zupełnie uzasadnione podstawy do niepokoju.

Statystyki te podają jako główne przyczyny chorób umysłowych (pomijamy, rzecz jasna, przypadki wrodzonych, ciężkich zaburzeń, których przyczyn często — choć nie zawsze — wytopić nie sposób) następujące okoliczności: powikłania syfilityczne, narkomania (opium), alkoholizm, daleki wyczerpanie, przemęczenie i przedenerowanie pracą zawodową, zmartwienia natury finansowej, erotycznej i „domowej” (domestic troubles). Otóż wystarczy przyrzeć się uważnie tej liście i skonfrontować ją w myśl z obrazem współczesnej Ameryki — aby sprawa stała się niemal całkiem jasna. Za nową „epidemię” odpowiedzialny jest ustrój społeczny, ustrój, który doświadcza każdej z wyliczonych wyżej okoliczności stwarza nie tylko znakomite warunki do zaistnienia, ale co więcej, działałaracie jej wielokrotnie, karykaturalnie rozdyma i potęguje.

Weszliśmy tu na teren problematyki niesłychanie interesującej, ale zarazem teren niemal „dziewiczy”, prawie nie tknięty dotychczas przez ścisłe badania naukowe. Toteż poruścić się po nim trzeba wyjątkowo ostrożnie. Zagadnienie destrukcyjne-

go oddziaływania tego rodzaju stosunków ustrojowych, jakie w jasnej formie obserwujemy we współczesnej Ameryce, na psychikę tzw. szarego człowieka — jest zagadnieniem bardzo skomplikowanym, jednym z tych — jak to się powiada — „wieloaspektowych”. Nie wolno bowiem zapominać, jak długi i wieloogniowy jest łańcuch zależności wiodący od ekonomicznej struktury społeczeństwa do psychiki żyjącego w tym społeczeństwie człowieka!

Biorąc tu rzecz schematycznie można by, zdaniem moim, rozróżnić przynajmniej dwie (zresztą ściśle ze sobą związane i wzajemnie się warunkujące) strony owego „niszczącego psychicznie” oddziaływania amerykańskiego ustroju.

## „TEMPO“.

JEDNA strona — to osławione i okrzyknięte amerykańskie „tempo”. Tempo-symbol, tempo-moloch, tempo-zasada. Tempo, które czyni z życia przeciętnego „zjadacza chleba” jakiś prawie niewyobrażalny dla nas, wściekły, oszalały kołowrót, wymagający od tego, kto chce się utrzymać na powierzchni, ciągłego napięcia, ciągłej mobilizacji nerwowej. Obserwatora uzbrojonego w metodę rozumienia mechaniki rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego zjawisko to na gruncie amerykańskim dziwić nie może. Tam, gdzie interesy indywidualne jednostek uwikłane są stale, na co dzień, w nierozwiązalny i zaostrzający się wciąż sprzeczności, gdzie sukces życiowy jednego prawie nigdy nie może dojść do skutku inaczej jak poprzez ruinę drugiego (albo wielu), gdzie życiem rządzą wszechwładne, wileże prawo maksymalnego zysku w jak najkrótszym czasie i jakimkolwiek sposobem — w takim społeczeństwie owo „tempo” wystąpić musi jako naturalna konsekwencja ustroju. Zwłaszcza monstrualne i jaskrawe formy osiągnąć musi wtedy, gdy ustrój sam wkroczy już w stadium ostatecznego zwyrodnienia — jak to się właśnie dzieje w USA.

Wszyscy, którzy widzieli dzisiaj Amerykę, bez względu na to czy panujący w niej porządek ekonomiczny potępiają, czy aprobują, zgodni są co do tego, że nie ma nic bardziej wyczerpującego nerwowo jak atmosfera wielkiego amerykańskiego miasta. „Histeria tam wisi w powietrzu” — powiedział pewien francuski dziennikarz. Nie podobna odmówić trafności temu określeniu! Są tacy (ci naiwniejsi), którym ta huczająca, rozdygotana machina kapitalizmu w pierwszych dniach imponuje. Ale jest to z reguły wrażenie krótkotrwałe. Już po kilku tygodniach znika bezpowrotnie zalekawienie i podziw. Pozostaje tylko znudzenie. Bo gdy machina wciągnie raz w swe opętające tryby — nie zostawia już czasu na myślenie, analizowanie,

refleksje. Człowiek staje się sam jednym z milionów małych trybików, a trybiki zużywają się prędko... Po 20—30 latach takiej maceracji przedstawia on z reguły już tylko strzęp, ruinę nerwową, szmeic. Twierdzenia te nie są gołosłowne. O ich ponurej prawdziwości świadczą fakty. Jest rzeczą charakterystyczną, że jedną z dominujących pozycji w statystykach chorób umysłowych zajmuje w USA „infantylizm starczy”, występujący zazwyczaj na tle sklerozy mózgu, przy czym, rzecz znamienita, ulegają mu często ludzie (zwłaszcza mężczyźni) jeszcze grubo poniżej sześćdziesiątki — zjawisko u nas niespotykane! Ze jest to bezpośrednim rezultatem oddziaływań środowiskowych — nie może ulegać żadnej wątpliwości. Faktem równie znamienitym, podkreślanym zresztą zgodnie przez wielu wybitnych specjalistów zachodnich, jest bardzo na ogół mała odporność nerwowa Amerykanów — zazwyczaj wprawdzie ukryta na co dzień pod maską fanfaronady i pewności siebie — ale w momentach krytycznych wychodząca na jaw tym jaskrawiej. Wielu zachodnich korespondentów wojennych na Korei zaobserwowało ciekawe zjawisko: oto okazuje się, że żołnierze amerykańscy — tak przecież reklamowani pod względem walorów bojowych — odznaczają się wyraźnie większą „łamlivością nerwową” niż żołnierze innych narodowości, np. Turcy czy Koreańczycy. Podobno szczególnie źle znoszą Amerykanie długotrwały ogień artyleryjski; w związku z tym zrodził się nawet w „kopach specjalny termin „artillery sickness” — „choroba artyleryjska“.

Rzeczą powszechnie znaną jest niezwykła podatność Amerykanów na rozmaite, zazwyczaj krótkotrwałe, lecz gwałtowne masowe psychozes. Jest to zjawisko uderzające. Wystarczy tu choćby przypomnieć słynny „kawał”, jaki w roku 1938 zrobiło nieopatrzenie swym słuchaczom radio nowojorskie nadając „prima aprilisową” nadycję o rozpoczynającym się właśnie... desancie Marsjana na naszą planetę. Efekt był wręcz niesamowity. Audycja wywołała wśród milionów Amerykanów niesłychaną panikę, ilość samobójstw podskoczyła o blisko 100%, wielkie miasta ogarnięte zostały kompletnym zamieszaniem. I trzeba było dłuższego czasu, aby uspokoić rozhisteryzowane masy i wytłumaczyć im, że cały „najazd Marsjan” to po prostu zwykła — mówiąc po naszymu — „lipa”... W ostatnich latach fale podobnej psychozy przebiegały parokrotnie przez Stany w związku z osławioną aferą tajemniczych „latających talerzy”. „Talerze” okazały się w końcu wytworem czyjejś chorej wyobraźni — a mimo to puszczona w obieg bzdura, podchwyczona łapczywie przez zawsze chełwił się prasę, potrafiła w ciągu wielu tygodni spędzać sen z oczu milionom ludzi.

Mamy tu dwa niezmiernie charakterystyczne i zastanawiające przykłady masowej reakcji psychicznej, która na gruncie europejskim jest wręcz nie do pomyślenia. Reakcja, która dąży, śmieszny albo po prostu wywołuje ironiczne wzruszenie ramion. Mówi się czasem, jakby usprawiedliwiająco, że Amerykanie są „naiwni”. Ale każdy myślący człowiek przyzna, że faktów tego rodzaju nie da się skwitować prostym słówkiem „naiwność” i uważać sprawę za wyjaśnioną. Przyczyny tkwią oczywiście głębiej — w systematycznej nadwątłej równowadze nerwowej całego społeczeństwa.

W tym procesie robienia z ludzi kretynów „tempo” sekunduje dzielnie jeszcze drugi społeczny mechanizm. Mam tu na myśli deprawujące wychowawcze oddziały-

# OCALENIE

(pamięci Rosenbergów)

## O ŚMIERCI

Są śmierci trudne i samotne. Jak zwierzę chore lub ranione kryje się człowiek. Smutne słońce wstydlwym świadkiem jego skonu.

Bywają zmierzchy: na granicy pomiędzy uśmiechem a słowem zgaśnie dzień ludzki; już wypływa zza horyzontu gwiazda nowa.

Siekiera błysk strwożoną gałąź od pnia odziela bezpowrotnie i myśl zgnęła okaleczała ledwie dzieciństwa zdoła dotknąć. Bolesne zanurzania się w wieczność, (o którym nie wszyscy wiedzą że jest powrotem).

Rozbieranie po cegiełce, domu własnego życia, by nie przystąpił prawdy — to nazywamy ocaleniem. Ratunku nie uchwycić kłamstwem. Podarować ludzkości własną śmierć — to nazywamy bohaterstwem.

## W DOMU NIEGDYŚ BIAŁYM

Prezydent ma ręce czyste,  
Prezydent ma sen spokojny.  
Przed białą pikietą listów  
wystarczy zamknąć okno.  
Nie każdy kardynał  
unie otworzyć serce chrześcijanina —  
chrzest w imię złota  
nie budzi sumienia.  
Prezydent ma sen spokojny,  
a widełek aparatu  
zawiesił zdradę.  
Cieza.  
Prąd nie rozdziera żył,  
Podłoga w Sing Sing zostaje niesplamiona.  
A ręce Prezydenta?

## PRZESŁANIE

Najsprawiedliwszy, Który czekasz  
za widnokretem ziemskich godzin  
na każdą myśl i czyn człowieka —  
racz przyjąć Ich, nam ocal godność.

wanie amerykańskiego ustroju. Zagadnienie to niejednokrotnie bywało już roztrząsane na łamach naszej prasy — toteż dotknijmy go tu tylko o tyle, o ile wiąże się ono z problemem nas interesującym.

## „POSIEKANA BLONDYNKA Z BROOKLYNU“

WSPÓŁCZESNA technika daje do dyspozycji niebywale potężne materialne środki duchowego oddziaływania na społeczeństwo — środki takie, jak radio, telewizja, kino, prasa, produkcja wydawnicza itd. Jest to właśnie jedna z owych „wielkich szans”, których używa nam wysoko rozwinięta cywilizacja techniczna — szansa na skuteczne kształtowanie „wnętrza” przeciętnego obywatela w kierunku społecznie pozytywnym, na wpojenie mu pożądanych z punktu widzenia najszerzego ogółu norm i zasad postępowania; jest to, krótko mówiąc, szansa na masowe wychowanie i ulepszenie człowieka. Trzeba sobie jednak jasno uświadomić, że w parze z wielkimi perspektywami idzie tu wielkie niebezpieczeństwo. „Wielka szansa” może być bowiem w pełni wykorzystana tylko pod warunkiem istnienia odpowiedniej organizacji społeczeństwa. Otóż ustrój kapitalistyczny tego warunku nie spełnia i dlatego szansy owej wykorzystać nie jest w stanie; zaprzepasz-

cza ją z każdym dniem coraz gruntownie i zaprzepaszczając musi. Co więcej, ustrój ten zaprzęga wszystkie wyżej wymienione zdobycze techniki nie do konstruktywnej wychowawczo, lecz do niszcycielskiej roboty: do moralnego i nerwowego koślawienia psychiki człowieka! Prasa, film, literatura stają się rozsądnymi moralnego nihilizmu, gwałtu, zbrodni, zbrodni i seksualnego rozwydrzenia. Tak oto stworzony zostaje przerażający aparat masowego oglupiania społeczeństwa, aparat, którego pustosząca pracę obserwujemy jak jakieś wielkie, tragiczne widowisko, właśnie w dzisiejszej Ameryce. Jak ten aparat pracuje? Posłuchajcie:

„Posiekana blondynka z Brooklynu zapakowana w czarne walizki”. „Rudowłosa dżga nożem muzyńskiego śpiewaka”. „Nauczyciel, lat 58, gwałci 15-letnią uczennicę”. „Gwóźdź wbity przez oko w mózg mężczyzny — tajemniczy mord na Long Island”. Ta sympatyczna, kojąca więzanka, to kilka tytułów wybranych z jednego tylko numeru najpopularniejszego w USA dziennika „Daily Mirror”. Posłuchajcie teraz, dla odmiany, malej próbkę amerykańskich reklam filmowych:

„Cagney — to mężczyzna, jakiego pragniecie... z rewolwerem... jadowity, bezlitosny, morderczy. Cagney —

(Dokończenie na str. 11)



# SYMBOLE POKOJU

OFENZYWA WSI.

O Nowej Hucie pisało się już wiele, że jest miastem i Kombinate młodzi. Rzeczywiście w Kombinacie rzadko spotyka się ludzi starszych. Budowniczo i pracownicy Nowej Huty są młodzi, czasem nawet bardzo młodzi. Na przykład przeciętna wieku kilkudziesięcioletniej załogi Zakładów Remontowo-Mechanicznych waha się w granicach 23 — 24 lat. Młodość załogi jest niewątpliwie jednym z źródeł entuzjazmu, który towarzyszy pracy. Jednak wydaje się, że nie tylko w młodości tkwi siła, tempo i dynamizm budowy. Krótka, kilkudniowa obserwacja ludzi ich pracy, natężone i często przyśpieszone wnikanie w ich życie, koleje losów, badanie przyczyn przybycia do Nowej Huty, wszystkie te elementy pozwalają dojrzeć więcej znacznie powodów entuzjazmu. Tkwili oni niewątpliwie w licznych współdzielniach w pracy kobiet, które spotyka się wszędzie, w stalowni, w biurach, na placach budowy, na drogach. Wykonują one różne funkcje, pracując na ważnych stanowiskach. W Odlewni Żelaza trzyosobowa brygada kobieca, która narazie zajmowała się przygotowywaniem wsadu do pieca, miała w najbliższym czasie objąć całkowitą władzę nad piecem. Przyszły kierownik tej brygady, Władysław Bosek, spojrzawszy na mnie ze zdziwieniem, gdy zadalem jej pytanie, czy sobie poradzi z takim „drobiazgiem”. Uśmiechnęła się i odparła: — Mój mąż jest maszynistą. Jeśli on daje sobie radę z lokomotywą, to dlaczego ja nie miałabym dać sobie rady z piecem?..

Inne zjawisko jest jeszcze ciekawsze. Dwie współtowarzyszki przysięgły pieców, która, jak śmiem twierdzić, dałaby radę nie tylko jednemu piecowi, ale całej brygadzie pieców, pochodzą z wsi. Nie tylko one są ze wsi. Spotkałam i zapytywani przeze mnie zupełnie przypadkowo robotnicy, skąd pochodzi

dzia, w zdecydowanej większości odpowiadali, że są ze wsi, z rzeszowskiego, spod Miechowa, Bochni, Nowego Targu. Byłem zaskoczony ilością elementu chłopskiego w Nowej Hucie. Owszem, swego czasu mówiło się, że Nowa Huta, jak i inne zakłady przemysłowe, które już istnieją w Małopolsce, względnie które jeszcze powstały w ramach planu 6-letniego, mają za zadanie między innymi odciążyć przeludnioną wieś i przejąć część ludności wiejskiej. Problem ten, nie rozwiązany w okresie międzywojennym, obecnie nabiera realnych kształtów. Spotkania moje z robotnikami i budowniczymi Nowej Huty pozwoliły mi przekonać się naocznie, że obecnie odbywa się ogromny proces przechodzenia części ludności wiejskiej do miast, do fabryk. Przechodzenie to na przykładzie Nowej Huty nabiera cech niejakiego efemerycznego, chwilowego zjawiska, ale wielkiego ciągu ludności podkrakowskiej, przemyskiej, rzeszowskiej, tarnowskiej, która znajduje pracę w przemyśle, która wzbogaca ten przemysł entuzjazmem pracy polskiego chłopca. Zjawisko to nazwałbym — ofensywą wsi.

Przewodnikiem moim po wielkiej hałki kuźni był szesnastoletni Janek Woźniak, który do pracy dojeżdża ze wsi Smilowice pod Miechovem. Historia życia tego chłopaka jest odbiciem losów nie tylko jego śmiełowickich kolegów. Sądzę, że podobnych historii w Nowej Hucie znalazłoby się znacznie więcej. Zamilowanie do kowalstwa Janek wyniósł z domu, gdyż ojciec jego był kowalem. Różnie tam w domu było, gdyż trudno było wykarmić żonę i czterech synów z pracy miecha i młota, zwłaszcza, że młot ten nie zawsze był czynny. Zresztą ojciec Janka nie pracował we własnym warsztacie. Bieda nieraz zaglądała do ich izby. Nowych czasów ojciec już nie do czekał. Przyniosły one zasadniczą zmianę w życiu rodziny. Matka za-

Dokończenie ze str. 1

częła gospodarzyć na własnym gospodarstwie, które otrzymała od państwa z nadziału, po parcelacji obszarniczego dworu, najstarszy syn poszedł do wojska, dwaj młodszy do szkół. (Czwarty zmarł tuż po zakończeniu wojny). Dziś wszyscy bracia spotkali się w Nowej Hucie. Najstarszy Józef jest nawet brygadziwą, młodszy, Stanisław, cieśla z Zarządzie Wodno-Inżynieryjnym, Janek natomiast wstępuje w ślady ojca, z tą małą różnicą, że młot Janka waży już nie dziesięć czy dwa dziesiątki kilogramów, ale trzy tony. Zdumia pokazywał mi trzytonowego, radeckiego kołosa, którego z dzieciną łatwością obsługiwał jego kolega, Janek Orenda, kolega z pobliskiej wsi. Orenda jest sterownicą młota. Od niego zależą uderzenia stalowego kołosa, który spadając na stukilową, gratiastą bryłę rozpalonego żelaza, formuje z niej kształtne koła, późniejsze zębate trybny. Sterty ich, ustawione za Orendą, były dowodem jego pracy i wykonywania planu.

Janek Woźniak wskazuje mi starszego mężczyznę, ubranego w poniamiony. Kiedyś zielony prawdopodobnie kombinizon.

— To nasz brygadziwa, majster Korcyn. On też jest ze wsi. Ale to iachowiec, panie, baa...

Rzadko można spotkać tak sympatycznego człowieka. Z daleka wydał mi się starszym. Możliwe, że z powodu szpakowatej czołpiny i lekko pochylonego w przód ciała. Dopiero po poznaniu się odkryłem w nim tyle energii i życia, że wydało mi się oczywiste, iż lata tego człowieka nie mierzają się sęwym wiekiem, a młodzieńczym spojrzeniem niebieskich oczu. Na twarzy Korcyna przeżycia wyłobowały jedno znamie, ale podobni doń ludzie nie lubią ich wspominać. Żyją nie przez szłość i odmierzaniem skarg, ale julem. Nic więc dziwnego, że są pełni energii, inicjatywy i entuzjazmu.

Korcyn uśmiechnął się na propozycję zamienienia paru zdań. Chętnie zgodził się oprowadzić mnie po kuźni. Objasniał doskonale. Wyczuwało się w spokojnym głosie i w rzeczowych informacjach wytrawnego instruktora.

— Gdzie pan mieszka? — zapytałem się, gdy skończył mi objaśniać proces rozpalania i działania pieca-żaraka. Buchający, tysiącstopniowy żar i huczące wentylatory pieca zagłuszały rozmowę.

Korcyn obrócił się w stronę Mogiły, a raczej obecnie Nowej Huty.

— Przeprowadzamy się łódką na drugą stronę. Rybitwy leżą tuż nad Wisłą. Stąd pół godziny drogi, z prędkością najwyżej trzy kwadransy.

— Przeprowadzamy się, to znaczy, że jest was kilku ze wsi?

— Kilku? W samej kuźni pracuje pięciu z Rybitw. Tego — wskazał na młodszego, pyzatego chłopaka, który majstrował przy nowym, niezręcznym jeszcze piecu — szykuje na piecownię. Pojętny chłopak. A z Rybitw w Nowej Hucie pracuje chyba z pięćdziesięciu. Ale ja jeżdżę z córką...

— Z córką?

Korcyn uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Córka pracuje przy wielkich piecach, w biurze. Jest już po maturze — dodał z nieukrywaną dumą, nagle przerwał rozmowę unosząc czujnie do góry głowę pilnie nashuchując.

Stuk i koskot walących młotów mieszał się z dudnieniem pieców, jednak Korcyn, jak dyrygent, tożpował z łatwością fałszywy ton.

— Wentylator źle działa w pierwszym grzewczym. Chwilkę, sprawdzę, bo może być wyluch...

O Korcynie dowiedziałem się potem więcej szczegółów. Jest jednym z najlepszych fachowców przy piecach i w gazownictwie. W sierpniu ubiegłego roku został specjalnie przeniesiony z Wydziału Energetycznego do rozpalania pierwszego pieca. W halach wów-

czas jeden młot i czekano na specjalistę, który rozpaliby nowozbudowany piec. W ciągu niecałego roku Korcyn wyszkolił już kilku piecowych, którzy jeszcze jesienią ubiegłego roku nie wysadzali nosa poza rybczańskie płoty. Jednak w tym spokojnym, zrównoważonym człowieku, dyrygencie pieców, kryło się znacznie więcej niespodzianek niż mogłem to odkryć w ciągu godzinnej z nim rozmowy. Skromność nie pozwoliła mi opowiedzieć o swych kłopotach, gdy dwa lata temu, jako ekstern, zdawał maturę i uzyskał dyplom technika. Można powiedzieć, że dogonił córkę i w ciągu kilku lat odrobił przeszło czterdzieści lat swego opóźnienia, naturalnie, opóźnienia nie wynikłego z jego winy.

Dziękując mi nie chciałem przeszkadzać pracy człowieka, którego czas jest równie drogi, jak stal...

Podobnych spotkań miałem wiele. Pozwoliły mi one uzupełnić swą topograficzne spostrzeżenia odnośnie usytuowania Nowej Huty demograficznie jeszcze przyczynkiem. Nowa Huta rozwiązuje pomyślnie problem przeludnienia, rozdrobnionej tysiącami karłowatych gospodarstw wsi małopolskiej, z której w okresie międzywojennym tylko wartościowych, podobnych do Korcynów ludzi, musiało ruszyć w świat, w poszukiwaniu pracy i chleba. Dziś drogi ich prowadzą do Nowej Huty.

USMIECH JUTRA

Z płaskowzgórza Kombinatu rozciąga się widok nie tylko na Nową Hutę — miasto, ale znacznie głębiej, dalej, niemal do podnóży gór. Ciekaw byłem tego widoku, właśnie z góry, miasta, które po raz pierwszy ma urzędziwistnie pragnienie i postulaty miasta socjalistycznego. Trudno, niewątpliwie, wyrażać sąd o tym, co jest jeszcze nie skończony, fragmentaryczny. Właściwe pigno na miesiąc wywrze dopiero jego centrum. Z drugiej jednak strony nie należy zapominać, że dzisiejsza, zamieszkała część Nowej Huty stanowi spore osiedle, o wielkości przeciętnej, powiatowego miasta. Dlatego też ta część, której pełen urok może wypłynąć dopiero na ileś czasu, ma prawo do takiego odczytania swego, własnego piękna, jak ma do tego prawo warszawski Mariensztat czy też inne, podobne osiedla.

Widok jest narazie dość jednostajny. Brak jest tak charakterystycznych dla wszystkich miejskich panoram — nierównej linii dachów, przerywanych kopułami drzew, poszarpanych wieżami, które potrafiłyby rozproszyć monotonię jednej płaszczyzny. Z czasem, gdy nowohuckie drzewa nabiorą odpowiednich kształtów, gdy wyskoczą swymi wysokimi gmachami śródmieście, oko cieszyć się będzie większą różnorodnością krajobrazu.

Ale to nie jest najważniejsze. Istotny problem tkwi w tym, że po pracy robotników Nowej Huty czeka zasłużony, przyjemny odpoczynek we własnych, pięknych mieszkaniach, jakie różnych od sławnych slumsów londyńskich czy też „Pekinów” warszawskich, podobnych raczej do średnio-wiecznych wież i niż do mieszkań, w których jednak żyło, rodziło się i umierało tysiące ludzi. Świadczenia takich kompleksowych budowli kapitalizmu zachowały się w wielu robotniczych miastach jak palące rany ustroju, które trudno jest od razu zaleczyć. Nowa Huta jest jasnym zaprzeczeniem minionych czasów. Korzystając z zaproszenia jednego ze spawaczy Kombinatu, ob. Pasternaka, odwiedziłem go w jego mieszkaniu w osiedlu A—Zachód. Droga Pasternaka do Nowej Huty prowadziła z cementowni w Trzebinii, gdzie przed wojną pracował jako robotnik, poprzez okupację, przymusową pracę w Niemczech, tułaczkę wśród obcych ludzi. Dziś Pasternak mieszka z żoną i trzema synami w pięknym, robotniczym mieszkaniu. Celowo używam słowa „robotniczym”. Dawniej łączyło się ono z odpowiednim losem w suterenie, na poddaszu, w najlep-

szym wypadku w czynszowej kamienicy o studziennym podwórzu. Obecnie oznacza ono mieszkanie na pierwszym piętrze z dużym przedpokojem, z którego trzej drzwi prowadzi do pokoi, czwarte do małego przedpokoju, a stąd do kuchni i łazienki. Robotnicze dzieci mają swój pokój, w którym odbijają lekcje, bawią się. Mieszkanie Pasternaka stwarza atmosferę stałości, daje poczucie „gniazda”. Jest oczywiście, że tutaj się odpoczywa po pracy, tu wyrasta i formuje się podstawowa komórka społeczna — rodzina, tu wreszcie kształtuje się poczucie miłości rodzicielskiej.

Niewątpliwie, że dojście do pewnego poziomu stabilizacji życiowej nie odbywa się łatwo. Drogę do osiągnięcia tego etapu, który leży już poza Pasternakiem i jemu podobnymi, cechowała wytężona praca. Ale czyż nie słuszy należy się nagroda spawaczowi Pasternakowi i setkom jego współtowarzyszów, którzy poniewierali dawniej przez los i przez ustrój do czekali się nareszcie właściwego uznania ich pracy?

Naturalnie, że problem stabilizacji życiowej nie kończy się na mieszkaniu. Byłoby zbyt dużą symplifikacją stawiać między tymi terminami znak równości, ale dla wielu ludzi, a zwłaszcza dla warszawiaków, którzy stracili swe domy i gniazda, nabiera ono może najbardziej zrozumiałego znaczenia. Dla robotników jest jeszcze czymś więcej. Znaczenie tego procesu tkwi głębszymi korzeniami. Przekreśla ono tak bardzo trafne i tak długo obowiązujące powiędzenie jednego z pierwszych socjalistów, Baboosa, który wyraził się, że „więcej czci i honoru oddaje się tym, którzy noszą szpadę, niż tym, którzy ją wykuwają”.

Najsilniej utkwil mi w oczach obraz białego, parterowego budynku-pawilonu, składającego się z dwu skrzydeł, które obejmowały nimi zieloną przestrzeń przyszłego parku. Co prawda, trudno nazwać parkiem przestrzeń, po rośniętą prawie tylko trawą z kilkoma krzewami i drzewkami, z małym brodzikiem, pełnym wody, piaskownicą, rabatami posadzonych kwiatów. Właściwie będzie to za parę lat pięknym ogródkiem dziecięcym, ale już dzisiaj zieloność otoczenia i dużo, dużo powietrza i słońca sprawia radość jego mieszkańcom.

W chwili, gdy odwiedzałem przedszkole w osiedlu A—1, panowała w nim cisza poobiednia. W salach i w dużej hawali, na małych leżakach, dostosowanych do rozmiarów ich właścicieli, leżały dzieci. Przyjemny chłód, panujący wewnątrz pawilonu, przewołał widocznie do snu. Niektóre więc spały, inne, z paluszkiem w buzi ku rozpaczliwej wychowawczyni, przeżywały niedawną zabawę. Patrzyły na mnie bystro, jakby taksując wartość ewentualnego towarzysza gier. Ich zarówowanie nie budzi napawały radością. W ich oczach przejrzało się i moje dzieciństwo, dlatego szybko wyszedłem, nie chcąc pokazywać im swego żalu za utraconymi latami.

Takich przedszkoli jest obecnie trzy, a dzieci korzystających z ich opieki — czterysta.

Wizyta u małych kolegów utkwiała mi może najsilniej ze wszystkich wspomnień o mieście. Silniej niż spotkanie z nowohuckimi mieszkańcami „hotelu pracowniczego”, niż rozmowy i odwiedziny u mieszkańców. Możliwe, że na takie bardzo subiektywne odczucie „nowego miasta” wpłynęła tesknota za moimi pociechami, które czekając niecierpliwie na mój powrót z nowohuckiej wyprawy nie domyślały się i na pewno nie zrozumieją doniosłości mojego odkrycia, odkrycia osobliwego związku między hutą, stalą a uśmiechem i szczęściem dzieci. Nie dziwię się ich małym główkom można stwierdzić, że związku tego nie dostrzegają również i niektórzy dorośli. Po prostu — nie widzą.

Zbigniew Czajkowski

## Wiersze żołnierskie i proste

Stefan Zawadzki. Cena wolności. Czytelnik, Warszawa 1953.

Obok poezji intelektualnej i wypracowywanej w laboratoriach poetów, poezji, która zyskuje od razu ustaloną opinię, istnieje w każdej epoce inny rodzaj wierszy, które są notowane „w marszu i na bębnie” i które w inny, bardziej bezpośredni sposób towarzyszą ludziom w walce i pracy. Poezja taka często przeraża się w pieśni i wtedy jest już rozpatrywana w innym, wścisłym piśmie i piosence wymiarze. Poezja ta też zwykle nadaje się do deklamacji, łatwa, rytmiczna, wpadająca w ucho, przeważnie uczuciowa, nieraz o partiach prawdziwych, bo nie siląc się na pseudokoturnowość patosu.

Do tego typu poezji należą właśnie wiersze Stefana Zawadzkiego. „Cena wolności”, pośmiertny tomik tego młodego poety zawiera wiersze żołnierskie i proste, odznaczające się dużą bezpośredniością wyrazu.

Poezja żołnierska, to dla współczesnego Polaka poezja Szenwalda i Broniewskiego. Zawadzki nasuwa przede wszystkim szereg analogii z Szenwaldem — przez poruszanie tych samych kierunków tematów i stosowanie podobnych form poetyckiego wyrazu. Jest w tych wierszach, obok partii, w których obraz nie wytrzymuje akcji i ta znajduje ujście w licznych prozaimach, dużo napięcia dramatycznego. Szczególnie dobra jest kondensacja dramatycznej treści, jej „ulapidarnienie” w „Balladzie o telefonistce” z cyklu „Bitwa pod Lenino”.

Akcja odgrywa w tych wierszach pierwszorzędą rolę. Są one w dużej mierze epickie — tym cenniejsze, że epika u nas właściwie umarła i że te małe formy, relikty, jak ballada czy miniatury poematów, czy pieśń robotnicza z załączkami fabuły, spełniają przynależną epice ważną rolę w naszym życiu literackim.

Obok poezji żołnierskiej są w tomiku wiersze, którym autor nadaje formę pieśni robotniczej. Klasyczna zwrotka, lapidarność wynika z stosowania łatwo dla odbiorcy dostępnych skojarzeń obrazów i pojęć, to jej cechy.

Oto początek wiersza „Piosenka włoskich robotników”:

Czerwone wino jest w Bolonii,  
Czerwoną krwią przesiąkły grunt.

Przeciwko groźbie nowej wojny  
Dziś w świadomości dojrzał bunt”.

A oto jego zakończenie:

„Porzuc piosenki bracie smutną,  
Niech Pieśnią Wolnych buchnie śpiew,  
Nadchodzi czas, gdy ręce utną  
Tym, co ukradli dzieciom chleb”.

Drugą formą, którą Zawadzki umiejętnie się posługuje, jest nastrojowa romantyczna ballada. Powstają takie ciekawe wiersze, jak „Ballada o warkoczach”, poświęcona tragicznym dziełom bohaterki Młodej Gwardii Uliany Gromowej. Wiersz ten posiada również silnie zaakcentowaną fabułę. Wykorzystuje w nim Zawadzki rytmiczność powtarzających się motywów i szczęśliwie unika zbędnej stylizacji.

W tomiku Zawadzkiego obok zdecydowanych pomyłek artystycznych, jaką jest „Ballada o tureckiej brygadzie”, spotykamy wiele dobrych wierszy.

Te dobre wiersze Zawadzkiego cechuje głęboka miłość człowieka i nowo, budującej się ojczyzny. Ten humanistyczny ton przewija się przez cały tomik. Odczytujemy go i ze wspomnień żołnierskich, które są dokonywane z perspektywy Nowej Huty, wyrosłej na skutek tamtych operacji („Frontowa mapa”) i w wierszu „Noc na metrobudowie”, gdzie spojrzenie poety wybiega w przyszłość — i z perspektywy tej lepszej przyszłości ocenia się ofiarą pracę budowniczych metra.

Genezę tej miłości i jej uzasadnienie daje poeta w wierszu „Moja miłość”:

„Moja miłość wyrosła  
Nie z warszawskiej ulicy,  
I nie w domu wyrosła —  
Megó domu nie było.  
Zbirotałem ją w okopach,  
Jak proch do ładownicy,  
Na polach Białorusi,  
Pośród ruin i pyłu.

Moja miłość wyrosła  
I z tęsknoty, i z troski  
Za straconym dzieciństwem  
I za jutrem spokojnym.  
Miłość moja jak życie  
Poprzez bitwy przyniosłem,  
Aby dom swój zbudować,  
Aby strzec go od wojny”.

Jacek Lukaszewicz



## AKT II

SALA konferencyjna Zarządu Tow. Akcyjnego Fabrykacji Zapalek „Płomień” w Wiedniu. Stół wygięty zleka w połowę lub owalny, przykryty zielonym suknem. Fotele. Z jednej strony sali gustowny kominek z rzeźbami, z drugiej strony, w rogu, maszynowa kasa paucerna. Na ścianie pod boczną ścianą telefon. Obok krzesło. Na ścianach portrety potentatów przemysłowych i arystokracji, założycieli firmy. W lewej ścianie wielkie okno. Widac przez nie panoramę Wiednia. Nad dachami wystrzela wieżycia św. Stefana. W prawej ścianie drzwi — otwarte. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiega gwar pomniejszych głosów.

## SCENA I

Woźny rozkłada na stole konferencyjnym arkusze papieru i ołówki. Przesuwa kawałek z wody, ustawia szklanki. Z oddalenia ogarnia stół spojrzeniem czy czego nie brakuje, wreszcie w otwartych drzwiach klania się zgrupowanym w drugim pokoju. Rozgwar obok przechodzi w inną tonację. Słychać głos prezesa Koerner: „Proszymy do sali”. Szranie krzesel. Przez otwarte drzwi napływają członkowie rady nadzorczej pojedynczo lub parami. Pierwsi wchodzi mecenas Niebuhr i v. Frauenstein.

## Niebuhr

Czy widział pan już w „Kokosie” ostatnią nowosć Wiednia — Mitzi Gaertler? Jeszcze nie? Konieczne trzeba zobaczyć, konieczne. Mitzi fantastycznie tańczy bolero i sarabandę. Powiadani — smakowały!

## v. Frauenstein

Beh! Wy w Wiedniu entuzjastujecie się wszystkim. Tańczy pewno tak, jak prześlęta taneczka hiszpańska. Ale zobaczyć należy. Przyznaję.

(ziewa)

## Niebuhr

(spieszony)

W każdym bądź razie publiczność za nią szaleje.

## Baronowa Retz

Starsza dama, utyka i podciera się łaską. Nie dosięży. Dogana Niebuhra i chwytą go za ramię)

Czy będziemy dziś ustalać wysokość dywidendy?

## Niebuhr

(z uprzedzającym szacunkiem)

Nie, łaskawa pani. Ta sesja jest nadzwyczajna.

## Baronowa

Cóż to znów? Czy jeszcze jedna ustawa przemysłowa? Byłam przekonana, że chodzi o dywidendę. Więc parlament ciągle chce zrujnować kraj?

## Hr. Gleichenberg

(Wychodzi z sąsiedniego pokoju sam. Na dźwięk ostatnich słów baronowej przystaje na chwile koło jej fotela i poprawia moneta)

A jednak monarchia wypadła tańiej niż republika. Czyż nie tak, kuzynko? Właśnie monarchia! Każdy prezydent urządza swój dwór na nowo. Każdy parlament od nowa przewraca wszystko do góry nogami. Tymczasem najgłupszy krawiec wie, że garnitur można zrobić tylko jeden raz.

(dostreza Niebuhra, który usiadł za baronową)

Ach, pardon, mecenasie. Oczywiście w teorii, w teorii. (Osadza wylatującą cy monetę) Nie chciałam urazić. Cennym przekonania młodych. (pratekcyjnie) Pięknie przemawiał pan na ostatnim mityngu. Deprawdy pięknie. Mówiono mi o tym.

(Klania się baronowej i odchodzi na drugą stronę stołu)

## Prezes Koerner

(Pod pachą niesie teczkę. Przepuszcza przed sobą Mr. Roonkeya. W drzwiach odwraca i zapuszcza raz jeszcze pozostającego w sąsiednim pokoju Rosenthala)

Drogi radco, proszę do sali. Już zaczynamy. Mister Roonkey, pozwól pan...

(Prowadzi zagranicznego gościa do stołu i zajmuje miejsce pośrodku, między nim a baronową Retz).

Może sprowadzi tłumacza? Będzie panu łatwiej śledzić tok obrad.

## Roonkey

(z silnym cudzoziemskim akcentem) O, ja trochę wiem austriacki. (Klenie Koertera po ramieniu) Interes to naj lepszy język na świecie. Nie wymaga słownika, nie sędzi pan? W tej grze matryce przypadki wszędzie odmieniają się tak samo.

## Koerner

(śmieje się uprzejmie)

Deprawdy, świetnie powiedziane.

(Ostatni z rady na salę wchodzi radca Rosenthal i zajmuje miejsce na lewym krańcu stołu, za hr. Gleichenberg)

## Niebuhr

(Odwraca się od baronowej do v. Frauensteina i na widok Rosenthala podejmuje watek przyczyszonym głosem)

A propos „Kokosu”. Właśnie Rosenthal przejął niedawno ten kabaret. Poprzednikowi groziła plajta. Coś tam zresztą bakano o aferze z kokainą.

## v. Frauenstein

Toż to nie pierwszy lokal Rosenthala.

## Niebuhr

Oho, z Rosenthala tęga głowa. Nie dość mu prezesury w banku i członkostwa w naszej radzie. Od razu czy w imprezy w „Kokosie”. Ma doświadczenie. To on przeciwnie Mitzi z „Kakadu”. Ma nielada wdech do interesów. On jeden nie odczuł kryzysu.

(Za radcą Rosentalem wchodzi panna Haderle, stenotypistka. Zamyka drzwi za sobą i siada na ławce z ławką papieru na kolanach i ołówkiem)

## SCENA 2

## Koerner

(Staje przed stołem i dzwoni ołówkiem w szklankę)

Szanowni Państwo! Jesteśmy wszyscy, a więc mogę zaczynać. (Tonem bardziej oficjalnym) Otwieram zatem nadzwyczajne posiedzenie rady nadzorczej towarzystwa akcyjnego „Płomień”. Mam zaszczyt raz jeszcze powitać sekretarza Europejskiej Unii Zapalczanej, Mr. Roonkeya, który bawi obecnie w Wiedniu.

(Ukłon. Baronowa pozdrawia gościa ruchem wachlarza, którym chłodzi się od dłuższej chwili)

Przystępuję teraz do sprawy, która nas zgrupowała. Oczywiście nie potrzebuje podkreślać, że nasza obrada sa ściśle poufne. Ostatnie wypadki w naszych zakładach w Oberwalden...

## Baronowa

Och, Boże! Wypadki. Więc znów strajk...

## Koerner

Raczy się panj uspokoić, baronowo. To nie strajk. Oberwalden jest miejscowością spokojną i nie podatną na wywrotową agitację. Najlepszy dowód, że w tej jednej z naszych fabryk związek zawodowy prawie nie istnieje. Ale do rzeczy. Sprawa jest zgoda innej, powiem — bardzo delikatnej natury. Fakty przedstawię krótko. Zatrudniamy w Oberwalden od lat kilku chemika, doktora Julia na Dorena. To zdolny młody człowiek. Powiem nawet, bardzo zdolny. Opracował powacie, które (zapłyła do kartki) pozwoliły w ubiegłym roku bilansowi podnieść rentowność zakładów w Oberwalden o (głośniej) dalszych 9 procent.

## Baronowa

(oburzona)

Więc jednak dywidenda. Dlaczegoż mnie zwodzi? Nieuuh! Tworzył pan inaczej?

## Koerner

(głośniej)

Zareczam łaskawa pani, że to nie sprawa dywidendy. Mówimy o wonalzkach młodego chemika, które podniosły rentowność zakładów w Oberwalden.

## Baronowa

(uspokojona)

To pięknie. Bardzo pięknie. To na pewno dobre wynalazki. Pan wie, prezesie, jak ciężko naszym pracownikom. Stawiam wniosek o gratyfikację dla tego człowieka.

## Koerner

(zniecierpliwiony)

Zaprotakuujemy to, łaskawa pani. Oczywiście zaprotakuujemy. Panno Haderle czy zapisano wniosek baronowej Retz?

(stenotypistka kiwa potakująco głową)

Wracam do sprawy. Doktor Dorena prowadzi ostatnio intensywne doświadczenia nad fosforem. Udało mu się osiągnąć nieoczekiwane, powiem

## Leszek PROROK

— wprost rewelacyjne wyniki. Wytworzył wieczną zapalke, która zapala się około stu pięćdziesięciu razy przed doszczętnym zużyciem.

## Roonkey

(Notuje coś w notesie)

Very interesting! (do Gleichenberga) Jak się nazywa ten rozumny młody człowiek?

## Gleichenberg

Julian Doren, Do-ren!

## Rosenthal

(do Gleichenberga)

Ot pasztet! Wiesz pan, hrabio, czym to pachnie?

## Koerner

Wraz ze sprawozdaniem dyrektora zakładów w Oberwalden otrzymałem memoriał wynalazcy (pokazuje teczkę) dotyczący nowej substancji, którą Doren nazwał Fosforyną...

## v. Frauenstein

(do Niebuhra, przyczyszonym głosem)

Fosforyna! To zupełnie jak imię dziecinne. Nie uważa pan? Ot pomieścić. Naprawdę młody kulalet w „Kokosie”. (nuży) O Fosforyno, szczęście me!

## Baronowa

(grozi mu żartobliwie)

Willy, wisusie! Kiedy ty się wreszcie ustatkujesz? (Przez stół do hr. Gleichenberga) Zawsze ten sam — niepoprawny. I to mój cioteczny wnuc.

## Koerner

(sztuka w szlankę)

Bardzo proszę o spokój. Sprawa jest poważna i nie nastają do żartów. (Wyciąga z kieszeni pudełko) Oto wynalazek doktora Dorena.

(Zapala zapalke 2-3 razy i puszcza wynałazek w obieg)

## Baronowa

(odsuwa się z fotelem od stołu)

Zabierzcie to! Zawsz zabierzcie! Jeszcze mi się koronki zapala.

## v. Frauenstein

(zapala papierosa od płomienia i nuży)

O Fosforyno, szczęście me!

(wstaje i podaje pudełko na drugą stronę stołu)

## Rosenthal

Jak się przedstawia ekonomiczna strona wynalazku?

## Gleichenberg

(zapala wieczną zapalke)

O, to, to! Właśnie to samo chciałem...

## Koerner

Ja również do tego zmierzam. Wynalazek powoduje przewrót w branży zapalczanej. Sekret substancji Dorena zatrzymał dla siebie, nie wiemy, że jej wytworzenie nie jest zbyt skomplikowane.

## Roonkey

(zapala zapalke z uwagą uwagę) Very interesting. Indeed!

## Koerner

Istota zagadnienia leży na płaszczyźnie ekonomicznej, a nie technicznej. Jeżeli dziś wprowadzimy zapalke Dorena, jutro możemy zwolnić 75% załoz. Zapotrzebowanie na prace i surowiec, zwłaszcza w dziale drewnianek i opakowań, spada do minimum.

## Baronowa

(z ferworem)

Więc nareszcie redukcje sa możliwe. A mówiałam zarządowi: tylko redukcje utrzymują dywidendę. Im wcześniej zacząć, tym lepiej. Z kryzysem trzeba walczyć.

## Niebuhr

Sa jednak pewne względy ogólne, łaskawa pani, które stała na przeszkodzie. Żyjemy w nielatawych czasach. Reakcja opinii na taki krok...

F O S F O  
(fragment)

## Baronowa

(lekceważąco)

Ech tam, opinia. Młody człowieku, wiedz, że spółka akcyjna jest jak kobieta z towarzystwa. Poniżej własnej sfery nie dba o opinię, a wyżej... liczy na wyrozumiałość.

## Koerner

Droży państwo, nie schodźmy na manowce. To są szczegóły. Przykład zatrucia rzućmy dla ilustracji. Nas obchodzi przede wszystkim fakt, że zapalke Dorena zastępuje około 150 zapalek obecnych, inaczej — całej trzy pudełko. Jeśliby wprowadzić wynalazek, sam zakład w Oberwalden zastąpi nie tylko produkcję całej Austrii, lecz również połowy fabryk unii europejskiej.

(Ogólnie poruszenie. Jeden Rosenthal niecierpliwie bębni palcami po stole. Roonkey zapisuje w notesie).

## Gleichenberg

To groźne.

## Baronowa

To niesłychane.

## Rosenthal

(do Gleichenberga)

A nie mówiłem. Ot pasztet! (Głos no) A ileż Doren chce za swój wynalazek?

## Koerner

Do tej pory o kupnie Fosforyny nie było mowy. Doren spodziewa się, że rozpoczniemy produkcję jego zapalke i w tej sprawie przed miesiącem złożył memoriał.

## Baronowa

No, no i cóż?

## Koerner

W zeszłym tygodniu otrzymałem list od niego. Niecierpliw się. Zapowiada swój bliski przyjazd i domaga się rozstrzygnięcia. Dlatego pozwoliłem sobie przyspieszyć dzisiejszą sesję.

## Baronowa

Domaga się... A to bezczelność.

## Niebuhr

Czy Doren zdaje sobie sprawę z gospodarczych skutków wynalazku?

## Koerner

Owzajem, o ile mogłem się w jego poglądach zorientować. Proponuje produkcję nowej zapalke w jednym zakładzie. Inne chciałby przestawić na nawozy sztuczne, według metody, którą opracował. Tu są szczegóły...

## (szuka w papierach)

## Roonkey

To naprawdę zdolny człowiek. Very interesting.

## Koerner

...jak naprzykład wykaz koniecznych inwestycji.

## Gleichenberg

Inwestycje! Czy on zawiązał? Kto dziś chce inwestować? Wiczej nawet. Kto dziś może inwestować?

## Baronowa

To jakiś sekodliwy szaleniec, ten Doren. Mei drodzy, on zagraża zakładom „Płomienia”. Prezesie Koerner! Cofam wniosek o gratyfikację dla tego człowieka. Pan mi nie o tym nie mów! Proze zaraz wykręślił to, co powiedziałam, panno, panno...

## Koerner

Haderle.

## Baronowa

Tak jest, panno Haderle. (Stenotypistka posłusznie cofa stronę w bioku i podkreśla tekst)

## Gleichenberg

Kto kupi nawozy sztuczne? I tak produkują się za dużo. Zapalke nie chcą kupować, choć to idealny artykuł, a nawóz...

## Niebuhr

Cóż zatem pan prezes ma na myśli? Jako najlepiej zorientowany w sy-

tuacji pomyślał pan chyba o jakimś załatwieniu tej sprawy.

## Koerner

Sami niczego rozstrzygnąć nie chciałem. Proszę natomiast wszystkich o wyrażenie opinii. Spodziewam się, że dziś podejmiemy jakąś decyzję. Musimy zresztą całą rzecz rozważyć nie na płaszczyźnie naszej spółki, ale całej unii zapalczanej.

(klania się lekko w stronę Roonkeya)

## Roonkey

Och tak. Dziękuję.

## Koerner

Więc proszę, może ktoś z państwa...

## (młeczni)

## Rosenthal

(Bębni palcami po stole. Do siebie) Ot, pasztet! Nie ma co mówić.

## Koerner

Więc może od tamtego końca. Pańskie zdanie, panie v. Frauenstein?

## v. Frauenstein

(Zaskoczony przerywa rysowanie kółek na papierze)

Ja, ja sądzę...Hm. Właśnie... (chwila namysłu) Więc jeśli Fosforyna ma zrujnować przemysł, to chyba nie należy używać Fosforyny. To dla mnie jasne. Czy to mało wynalazków leży i czeka na realizację. Niechże i Doren uzbroi się w cierpliwość.

## Rosenthal

Et, Bzdury!

## v. Frauenstein

Panie radco, proszę nie zapominać...

## Koerner

Fancie, panowie. Tu chodzi o wielkie sprawy.

## Rosenthal

Darujcie państwo, powiem szczerze. Bzdury! Jestem człowiekiem interesu. być może nieco kałciatym. Nie stać mnie na stylizację. Tak, panie v. Frauenstein. Czokanie bez decyzji, to bzdura. Mimo znacznego portfela akcji, jak pan posiada, nie wie pan pewno, że nie wszystkie firmy przystąpiły do europejskiej unii zapalczanej. Kartel ma jeszcze konkurentów. Nie jesteśmy wyłącznymi panami rynku. Mister Roonkey potwierdzi to bez wątpienia.

## Roonkey

Och tak. Indeed!

## Rosenthal

Jeśli Doren znajdzie drogę do konkurencji, wówczas za pańskie palce akcji pudełko zapalek pan nie kupi, nie mówiąc już o zapalce z Fosforyny.

## Baronowa

Widzisz Willy, zapczyłaś się. a radca mówi w twoim interesie. No, widzisz. Do twojej starej babki chyba nie masz żalu za te słowa!

## Gleichenberg

Tak, tak, święta racja. Wynalazku nie wolno wyrzucić z rak

## Roonkey

Kto do tej pory wie o Fosforynie?

## Koerner

(lekceważąco)

Et, zaledwie kilka osób w Oberwalden. Laborant, zmianowy, majster. Doren niepotrzebnie pokazał zapalke, lecz dyrektor Brandt zobowiązał go zaraz do pełnej dyskrecji, dopóki własne towarzystwa nie powezmie decyzji.

## Rosenthal

To i tak za dużo. Żle się stało, żeś my wcześniej o tych pracach nie wiedzieli. Można by tym pokierować. Diabło niewygodne sa wynalazki, którym nie kieruje dyrekcja firmy. Wynalazcy to nieobliczalni ludzie. Nie zważają na realne warunki, na waga epoki i co najgorsze — na chlebodawców.

# R Y N A dramatu

Koerner

Eksperymentował w tajemnicy. Któż mógł przypuszczać? Ale wróćmy do narady. Mecenasie Niebuhr!

Niebuhr

(Wstaje. W pozie adwokackiej. Odrzuca się, by stenotypistka mogła go lepiej słyszeć)

Jak państwu zapewne wiadomo, reprezentuję w radzie miejskiej interesy partii demokratycznej. Poglądy moje każą mi przyklasnąć wynalazkowi doktora Dorena. Jestem dumny, że Fosforyna narodziła się w zakładach, których jestem akcjonariuszem. My, Austriacy, nieraz już wnieśliśmy do skarbnicy ludzkości wartości niezniszczalne.

(Patentowym ruchem nalewa wodę do szklanki i pije dłuższą chwilę)

Gleichenberg

(po cichu do Rosenthala)

A cóż to za popis?

Rosenthal

(również po cichu)

Sprytna sztuka. Patrz pan. Mówi bardziej do stenotypistki niż do rady. A poza tym pewno ma pana lub mnie za plotkierzy pierwszej wody (Gleichenberg obrzuca się, nie rozumiejąc co radca ma na myśli) Bieży na miejsce w parlamencie w najbliższych wyborach. To początek jego akcji wyborczej. Tak, tak, panie. Kulturowe ploteczki o wyjątku mecenasa na sesji rady robią dobre wrażenie.

Gleichenberg

(do siebie)

A, rozumiem. Sam go pochwalilem za przemowę na miłyngu, więc te raz...

Niebuhr

(Odmawia się do członków rady) Jednak jako człowiek praktyki życie wejść muszę, iż rozważa i umiar cenne są również na polu zdobywczy technicznych. Wiemy wszyscy, jakie trudności przeżywa dziś przemysł austriacki. Ledwo utrzymujemy równowagę. Każde jej naruszenie grozi katastrofą.

Rosenthal

Do rzeczy, mecenasio! Do rzeczy! Ku czemu pan zmierza?

Niebuhr

Zmierzam do tego, by w pełni zaakceptować Fosforynę.

(Silne poruszenie wśród obecnych)

Chwilczkę spokoju, drodzy państwo. Ależ tak. Nie wolno nam znać wyznać. A sama sprawa należy przekazać komisji ekspertów, odpowiednio dobranej. Dopiero po jej orzeczeniu, będziemy myśleć o definitywnym rozstrzygnięciu. Może wynalazek ma jakieś braki, które pozwolą go odsunąć. Może zasługujemy od wynalazcy jakichś zmian. Ot, na przykład taka sprawa: czy substancja nie zagraża zdrowiu? Towarzystwo „Plomien” nie może wypuszczać na rynek produktów niebezpiecznych, które mogłyby zaszkodzić dobrej sławie firmy. Dorem musi ujawnić swoją formułę, dla jej sprawowania. A może okaże się w tym czasie skłonnym do sprzedania swych praw. Jestem specjalista od przewłaszczania własności przemysłowej. Wraz ze wspaniałym młodym doktorem Reichtem, przeprowadziliśmy w naszej kancelarii niejedną drażliwą sprawę. Nie wątpię, że w toku takich zabiegów dobra wola obu stron znajdzie wyjątko, odzwyczajające interesom wynalazcy. Towarzystwo „Plomien” i społeczeństwa.

(Kłania się zebraniom i stołowi. Roonkey potakuje w milczeniu)

Baronowa

Właściwie tego samego chciał Wilhelm, a zakrzyżdziście meboraka.

Koerner

A więc panj zdanie?

Baronowa

Och, ja się nie znam na tych zawiłych sprawach technicznych. Robicie, co uważacie za najlepsze, ale bardzo proszę — żadnych zmian. Postuchajcie starego, doświadczonego człowieka. Każda zmiana idzie na gorąco i my, rozsądni, jesteśmy po to, by do tych zmian nie dopuścić.

Koerner

(rozkłada ręce)

A pan, hrabio?

Gleichenberg

A ja myślę, że można by zacząć produkcję tej zapalki, ale tak skalkulować cenę, że na jedno wyjdzie, czy trzy pudełka. Czynnych, czy nowa z Fosforyny. Kupowano by ją dla wygody. Ot, taka zapalka podróżna. Sam hym ją nosił. Zawiedzie zapalniczką, nie możesz zapalić cygara, sięgasz po Fosforynę. I wynalazca to by zadowolilo i jakąż oszczędność dla nas na kosztach.

Rosenthal

(niezadowolony)

Nierealne, nierozalne. Nie da się u trzymać ceny. K... uronija to podchwyci i obróci przeciwko nam. Ja uważam, jeśli państwo pozwolą...

Koerner

Proszę, bardzo proszę... Chyba, że hrabia Gleichenberg zechce coś dodać.

Gleichenberg

Bardzo proszę, panie radco. Ja już właściwie wszystko...

Rosenthal

Zmieniamy do monopolu — to jasne. Monopol jest jedyną szansą dla wielkiego przemysłu. A więc i jedyną szansą dla ur... zapalekowanej. Jeśli mamy przetwarzać krzywiz. Ale to jeszcze duża droga i walki nie unikniemy. Widzę dwa konieczne etapy sprawy. W pierwszym musimy zdobyć wynalazek za jakąś cenę. Bez żadnych tajemnic. Niech kosztuje, co chce, musimy kupić. To jest inwestycja, która trzeba ponieść. Hrabie Gleichenberg. Pani baronowa nie będzie przeciw niej oponować.

Baronowa

(z ociąganiem)

Skoro pan twierdzi, że to niedorzeczne — cóż robić. Cenię pana jasny sąd.

Rosenthal

Sluga urlozowy. Otóż najpierw zdobyć Fosforynę. Gdyby wynalazca o pierał się, musimy znaleźć środki na cisku.

Gleichenberg

Latwo mówić. Żyjemy w republice, gdzie lada głusstwo władza krzyk w parlamencie. Te interpelacje, sobie białe tłumom... (Wychodzi się przez stół ku baronowej) Mówią, że młody Habsburg ma coraz większe szanse, ale czy wróci? (poprawia monokl) Czy wróci?

Rosenthal

Chwilczkę. Pozwoli pan skończyć A więc zdobyć Fosforynę i czekać. To dla mnie jasne.

v. Frauenstein

Czekać. Na co? Przecież ja też radziłem czekać.

Rosenthal

Jest różnica. Czekając, ale z Fosforyną tam! (wskazuje na kase pancerz na wrogu sat). Czekając do etapu drugiego. Do chwili, gdy osiągniemy monopol zapalekowany, przynajmniej w Europie. A może właśnie ta substancja utrudni nam drogę do monopolu? Wtedy będzie można przestawić się na pełną produkcję Fosforyny. Nawet tylko w Oberwalden. Za dawać nie ustalona cena. Jeśli nula zysków zostanie bez zmian, cóż szkodzi, że konsern przejdzie na jednym zakładzie, zamiast dziesięciu. He, pytam się, zarobkują kartole cukrownicze na wygaszaniu nierentownych zakła-

dów? Po cóż inwestować w stare rudery? Trzeba nauczyć świat oszczędzać. Tak — oszczędzać!

Koerner

To istotnie zachęcająco, radco Rosenthal.

Roonkey

Thank you, mister Rosenthal. Pan szeroko myśli.

Rosenthal

(kłania się)

Dziękuję. To mój chowizsek, a zarazem interes. Czyż nie jestem udziałowcem? Kończę zatem przypomnieć Niem. Najpierw zdobyć Fosforynę za wszelką cenę. A czy coś w tym kierunku zrobiono? Czy wiemy naprzykład coś bliższego o Dorenie? Cóż to za człowiek? Jakie są jego słabości? Jakie potrzeby?

Koerner

(urazony)

O, przepraszam. O to mnie dotąd nikt nie pytał. Tymczasem pomyślałem i o tym. Zaraz przeczytam raportu, co pisze dyrektor Brandt z Oberwalden.

(Podczas ostatnich słów Koernera schodzi woźny i zbliża się do prezesa, czekając w służbiej nocawie. Koerner szuka w papierach)

Zaraz, zaraz. Gdzie ja to mam? Czyżbym zostawił w biurze. Cwilięczkę.

(szuka dalej)

SCENA 3

Woźny

Fan prezes pozwoli. (Przytępuje i mówi coś szeptem).

Koerner

Niemżliwe! Sam tutaj? Wielka powina, proszę państwa! Właśnie dowiaduje się, że doktor Doren jest na dole. Przyjechał z Oberwalden ślad za ostatnim listem. Wzominałem, że się niecierpliwi. (do woźnego) Niech przekaże. Zaraz zejść. (Woźny wychodzi) Sądze, że skorzystamy z okazji, by z nim porozmawiać.

Pomieszane głosy

Ależ oczywiście. Tak, tak. Trzeba koniecznie! Kto by pomyślał — taki traf.

Roonkey

Porozmawiać — of course!

Koerner

Ja zejść na chwilę. Zaraz go przy prowadzę. (Wychodzi)

Niebuhr

He! Może lepiej byłoby porozmawiać z Dorem na oszczędności. Niewiedomo, co to za człowiek.

Gleichenberg

Zobaczmy. Nie taki diabeł straszny jak go malują.

Baronowa

Tylko bez żadnych inwestycji, moi drodzy! Zgodziłem się na projekt rady Rosenthala. Na nie więcej mnie nie namówicie. Na żadne inwestycje. Nawet na nawozy.

Gleichenberg

Cała ta historia przypomina mi zdanie, o którym opowiadał Karol książę Sigmaringen. Był z nikimś z cykiem w wielkiej zażyłości. Ach, cóż to był za amator koni. Gentleman i sportowiec w każdym calu. Kiedyś podczas krajowego Derby naj lepszy dżokej stał księciem, Pimps, oświadczył, że odchodzi. Tuż przed głównym biegiem — wybrałcie sobie. Pamiętam jak dziś, co się biedny książę wówczas natrapił. Skakał koło Pimpasa, jak nie skakał przedtem koło żadnej ze swych kochanek. He sie naperswadował, ile nprosił. Spełnił wszystkie żądania, no i...

(przerywa i uśmiecha się do swych myśli)

Rosenthal

No i?

Gleichenberg

No i dopiął swego. Pimps został, zdobył Grand Prix na „Sultanie”. To była głośna sprawa. Sam cesarz gratulował księciu Karolowi.

Baronowa

Cóż za historie kuzyn wyciąga. Cóż to wspólnego z naszą sprawą? Moral? Analogia?

Gleichenberg

Ot, tak mi się przypomniało. Jednak książę Karol też walczył za każdą cenę. Coüte que coüte.

Baronowa

Spodziewam się, że wynalazca jest tańszy od dżokeja. Jeśli słyszałem coś o tym rodzaju ludzi, to raczej mam ich za skromnych i ustepliwych. Rzadko się darzą, by psulo ich powołanie.

Koerner

(Wchodzi, prowadząc Dorena ubranego nieco starszawiej niż w fabryce)

O wilku mowa, a wilk tu. Właśnie o mawiamy pana dzieła, doktorze. Oto doktor Julian Doren, chluba towarzystwa „Plomien”. Trafili pan na posiedzenie rady naózorczel, kochany doktorze. (Prezentuje baronowej i Roonkey z unij europejskiej, hrabia Gleichenberg, radca Rosenthal.

(Podprowadza Dorena do stołu. Czekając na gościa, by powitał wynalazcę. Imi siedząc wyrażają ręce i uśmiechniętą się. Rosenthal wysłuchuje i robi Doremowi miejsce między sobą a Gleichenbergiem)

Gleichenberg

Jak to się świetnie składa. Bardzo pragnęliśmy pana poznać.

Baronowa

Ależ tak, oczywiście. To wielki wynalazek. Dzielny człowiek z pana. (Ogląda wynalazca przez lornetkę i przyjaźnie kiwa wachlarzem)

Doren

(onieśmielony)

Och, bardzo dziękuję. Bardzo mi miło to słyszeć.

Rosenthal

(spogląda na zegarek)

No, moi państwo, do rzeczy, do rzeczy! Późno już, a ja muszę być gdzieś jeszcze w banku.

Baronowa

A więc niech pan zaczyna.

Rosenthal

Drogi panie! Doszliśmy wszyscy do wniosku, że pański wynalazek jest cenny i że nasze towarzystwo, przez jasną kunnie go. Pozostaje kwestia ceny, jakiej pan żąda.

Doren

Tak, oczywiście. Nie myślałem jeszcze o jakiejś sprecyzowanej sumie, przyznam się szczerze. Najważniejsze dla mnie — to rozpoczęcie produkcji.

Koerner

Przejdźmy do porozumienia, doktorze. Chyba do tej pory nie może do pan ukarzać na Towarzystwo „Plomien”?

Doren

Ach, szkoda. Przecież tego nie powiedziałem.

Baronowa

Zatem widzi pan, moi drodzy, że chcemy się zaopiekować młodym talentem naukowym. Zapewnić panu karierę. Och, jak mi pan przypomina mego zmarłego syna. To samo czoła, co u Stefana.

Doren

Zdecydowałem się przyjechać w chwałę, że memoriał wszystkiego nie wstawia. Zdaje sobie sprawę, że przedstawienie produkcji spowoduje pewne trudności. Dlatego też racielem propozycje przejścia części zakładów towarzystwa na wytwarzanie nawozów sztucznych.

Koerner

To istotnie bardzo ciekawe. Przeglądałem projekty z zainteresowaniem.

Ale to dalsza sprawa. Zależymy w pierw jedno. Kupujemy Fosforynę. Chodzi o pańskie warunki.

(chwilę milczenia)

Rosenthal

(spoglądając na zegarek)

Dwieście tysięcy szylingów — chyba nie będzie mało?

Doren

Ja, ja myślałem nieco inaczej... Ale zresztą... Dla mnie, powtarzam, naj ważniejsze jest rozpoczęcie wyrobu Fosforyny.

Baronowa

Och, niech nawet będzie ćwierć miliona. Chcemy, żeby pan był zadowolony.

Doren

Bardzo dziękuję, ale chciałbym zapytać o decyzję w tamtej sprawie. Zależy mi bardzo na losie wynalazku, choć oczywiście strona materialna też jest ważna. Wiąże obie rzeczy tak ściśle, że dla siebie myślałem raczej o precencji od produkcji.

(Koerner wymienia znaczące spojrzenie z Rosenthalem i Roonkeyem)

Gleichenberg

Też słyszał pan, że i do tamtego w przyszłości dojdziemy.

Doren

Jakto w przyszłości? Wierze towarzystwo nie zamierza od razu przystąpić do wykorzystania wynalazku? Przecież opracowałem plan, który pogodził w zupełności wykorzystanie Fosforyny z pracą zakładów. Ależ w takim razie nie mogę sprzedać mego wynalazku.

Baronowa

A to w gorącej wodzie kąpany. Zadowolnie jak mój Stefan.

Rosenthal

No, panie. Na chemię to się przyznać, ale nie na gospodarce. Jak długo pracował pan nad Fosforyną?

Doren

Około trzech lat. Nie licząc czasu wstępujących.

Rosenthal

A od nas żąda pan, byśmy zaczęli produkcję w trzy dni? Ech, bżury!

Koerner

Panowie, panowie...

Doren

Ja bnafermici nie w tym sensie, ale to, co ułożyłem tutaj... Przecież czekali już od kilku tygodni na jakąś odpowiedź. Myślę, że sprawa tak ważna nie będzie długo czekać na decyzję.

Niebuhr

Drobną uwagę do tego, co mówił pan radco. Trzeba przecież sprawdzić naukowo pana odkrycia. Jest szereg zagadnień, które rozwiązać trzeba przed decyzją. Nie można nad nimi przeskoczyć. Ot, choćby sprawa szkodliwosci substancji dla zdrowia.

Doren

(urazony)

Jeżeli o to chodzi, mogę pana zapewnić, że Fosforyna jest zupełnie nieszkodliwa. Można ją zamorować na twarzy jak krem i nie pozostawić żadnego szkodliwego śladu.

Roonkey

To ma znaczenie (zapisuje w notesie).

Doren

Może po prostu przybyłem nie w porę. Firma jeszcze nie powzięła decyzji. Ha, trudno! Zaczekam. Przeważnie bardzo, nie będę przeszkadzał...

(Podnosi się i kłania, jakby zamierzał odejść)

Gleichenberg

(do Rosenthala i Koernera)

Trzeba go zatrzymać. Nie puszczaj!

(Dokończenie w następnym numerze)

Andrzej ODNOWA

# Zegadłowicz o Polsce sprzed wrześnieia

W pierwszej chwili można nie docenić sztuki Zegadłowicza\*). Brak jej jak gdyby dystansu, perspektywy, cechuje ją jakiś surowy autentyzm, natrętne kopiowanie konkretnej rzeczywistości autentycznych zdarzeń i osób — niemal pod każdą postacią można któreś ze znanych nazwisk. No i przorst publicystyki, rozgadanie — ukrócił je reżyser o połowę, i jeszcze wydaje się, że za mało. To są pierwsze wrażenia recenzenta, któ-

sowaniem jedynie... szpicel, prawdę tę wypiera radosno-twórcza wykładnia salonowca-starosty. Wieczorem afisz „Silni — zwarei — gotowi” zastępuje inny, o dancingu na LOPP.

Gdy taniak eskortuje aresztowanego tymczasem malarza-„wywrotowca”, w „Polonii” zaczyna się danc-ing. Lecz zapowiadana przez Sztorca burza nadchodzi. Ucieka kelner — szpieg niemiecki; rzucając „na stos... życia los” ucieka starosta. Dochodzą odgłosy bomb. Lecz w pensjonacie „Polonia” nadal „tańczy szopka cała”, tańczy lambeth-walk, dopóki nie rozlegnie się krzyk ślicznej Kitti, co nie przyjęła miejsca w aucie starosty: Oszukał nas! Łajdacy!

Otrzymujemy tu jak gdyby nową, bardziej realistyczną wersję „Wesela”.

Lecz oglądamy jeszcze ostatni akt tragedii: wrzesień. Posterunkowy placówki nadgranicznej policji w Rozstajach liczy płynący potok limuzyn. Płynie cała tamta Polska, odpływa w przeszłość, w niebyt, ku Rumunii. Na oczach osłupiałych, bezradnych, patrzących na to wszystko jak na sen i omylewki policjantów odbywa się jeszcze konfrontacja się postępowych i wstecznych, rozinowa Premiera z zakutym w kajdanki Sztorcem. Składkowski, przeprowadzający tuż przed przekroczeniem granicy ostatnią kabotyńską inspekcję, słyszy wreszcie prawdę o swych rządach. Zalamuje się prawie całkowicie pod wpływem słów bezsilnego więźnia. Lecz kiedy to za sprawą narodową wiąże sprawę społeczną, kiedy mówi o synach chłopskich i robotniczych, czar pryska. Faszystujący premier uświadamia sobie swą misję klasową. Ta scena jest świetna psychologicznie i ideowo, i świetnie też zrobiona dramatycznie — groteskowa postać, która wydawała się tylko głupia i biedna, pokazuje kły, pozostaje do końca wrogiem.

W Rozstajach następuje jednak nie tylko ostatni akt tragedii. Zegadłowicz ukazuje również przedświt jutra. W opustoszałej placówce policyjnej samotny, skuty artysta doczeka się się dźwięków „harmoszek” i wejścia żołnierzy Czerwonej Armii, witających w policyjnym więzieniu towarzysza. Z Rozstajów śmia już nawet w owej chwili w przyszłość nowa droga.

Dialektyczna, troista jest budowa sztuki Zegadłowicza. Postępowa redakcja przedstawia jak gdyby też, reakcyjne środowisko pensjonatu — antytezę. Akt końcowy pt. „Posternek” przynosi podsumowanie. Przejrzystości ogólnej budowy odpowiada wyrazistość i celność politycznej myśli sztuki, prawdziwie ukazującej rozkład ówczesnych sił, kierunku rozwoju, perspektywy przyszłości.

## POSTACIE I ODTWÓRCY

PRAWDZIWE i dramatyczne — dramatem niejako samej historii — są nie tylko zdarzenia tej sztuki. Prawdziwe są również jej postacie. Nie straciły nie na prawdzie mimo krzywego światła groteski i parodii. Najlepiej wypadły oczywiście postacie negatywne, całe środowisko drugiego aktu, w którego dyskusjach bardzo żywo grają sprzeczności intelektualne chwili.

Oto trójka literatów. Jak świetnie skonstruował Zegadłowicz liberała z faszystą. „Pan akademik kocha surowość myśli bez niuansów — ja nie” — mówi o faszystowskim kole-dze i sobie chwiejny liberał, sceptyk i angłoman, ustawicznie z Wellsem i „mrokami Średniowiecza” na ustach. Przemysław Zieliński dobrze oddał jego angielski snobizm, oderwany intelektualizm jego dowcipów, ogólną psychiczną nikłość. Faszysta, odwrotnie, gwizdże na wszelkie racjonalistyczne teorie i niuanse, faszyzm i

kult siły leżą jego zdaniem w instynkcie zdrowego narodu: dla niego liberał jako pozbawiony tego instynktu jest kastratem. Karol Leszczyński przyjął w tej roli maskę człowieka rzeczowego a groźnego, bardziej niż akademika przypominał jakiegoś ar-rywistę z przemysłu — rola wypadła znakomicie w swą nieefektywność.

Dość osobliwie prezentuje się w tym ideowym tercecie — katolicyzm. Michał Melina stworzył w roli trzeciego literata postać pełną groteskowego humoru, zjadliwej satyry. Ten pod tatusiaki ex-ziemianin, z szczoteczką do wąsów, a czasem z kieliszkiem w rękę, o ruchach tabetyka i prze-zabawnym głosie, łączy z postawą wegetatywnie hedonistyczną bierny fideizm i gesty pobożnej pogrózki w stosunku do zepsutego świata. Ten osobliwy katolik wydobywa z dziwne-go intelektualnego lamusa same myśli martwe. Mówi jednym tehem, że „wszystko w rękach Opatrzności”, że „przedmurze” i zarazem, że „kraj rolniczy”, więc wojny nie przegramy, i że „huzaria, te chłopaki kocha ne”. Melina ukazał w tej postaci religijność zacofaną i obłudną, idącą w parze z wyjątkowym ideowym zamętem.

Ujęcie groteskowo-satyryczne prze-ważało również w charakterystyce scenicznej pozostałych postaci. Przede wszystkim Prezeska (Hanna Bielicka), jedna z tych, co głosili, że „armia to chłuba nasza” i gubiły Polskę w bredni, w niestworzonych frazesach o masonerii i „żydokomunie”. Potem „niezrównany nasz pan starosta”, były oficer sztabowy, co to „głowa do góry, pierś naprzód”, całujący rączki damom w salonach i trzymający za mordę cały powiat, aby w właściwej chwili pierzchnąć autem za granicę. Andrzej Łapicki ucieleśniał oficjalny optymizm i krzepę, czarował błyskotliwym, szybkim dialogiem z pretensjami do rangi sto-łecznej, ba, europejskiej, a przy tym wszystkim nie zapomniał o akcentach realistycznych, umiał dyskret-nie a interesująco zasugerować od-cieniem głosu i mimiką domyslaną przez siebie rzeczywistą prawdę sy-tuacji. Wreszcie sam Premier, „Felicjan”, jak mówi o nim nieco swawolnie pan Starosta. Zagrał Sławoja Stanisław Jaśkiewicz, znakomicie łą-cząc elementy groteski, parodii, ka-rykatury z tragizmem tej roli. Wspaniała jest w tekście Zegadłowicza, i artysta wygrał to w pełni, owa po-zorna, nerwowa aktywność tej posta-ci, typowa dla pozbawionych rozumnej myśli przewodniej rządów sana-



Tadeusz Białoszczyński (Bruno Sztorc) w ostatnim akcie „Domku z kart”

cji i faszyzmów. Scena imperatywów i infinitywów — „rób coś”, „nie rde wuj”, „nie rozmawiać” — padała tu z intonacją maniaka, potęgując zna-ńnienie dla sceny z Premierem wza-żenie koszmaru.

Nader interesująco wypadły role po-średnie sztuki, role Kitti i Mecenasa.

Danuta Szaflarska zrobiła z roli Kitti małe cacko. Ukazała rozbijającą naiwność i snobizm tej ministerialnej maszynistki, jej „pozytywną”, pań-stwowotwórczą „filozofię” („tyle się zrobiło”), kulminującą w niezachwia-nej zdawałoby się wierze w marszałka Rydza. Szaflarskiej udało się jed-nak coś więcej. Rolę potraktowaną jako persyfikację umiała ponadto prze-poić wdziękiem, wzruszeniem, liryz-

natury rzeczy wysunęła się na plan pierwszy.

## INSCENIZACJA I REŻYSERIA

Przedstawienie „Domku z kart” miało niezwykle wyrównany po-ziom wykonania, wiele scen było prawdziwym koncertem gry aktor-skiej. Dobrze więc stanie się, że sztu-ka ma być w tej samej obsadzie prze-



Danuta Szaflarska (Kitti) i Henryk Borowski (red. Korbicki) w I akcie „Domku z kart”.

mem. Widz rozumiał, że Kitti jest głupiatką, lecz w gruncie rzeczy do brym stworzeniem i szczera, choć tak straszliwie oszukana patriotką. Sza-flarska, która najlepiej mimo wszyst-ko czuje się w rolach współczesnych, może Kitti zaliczyć do swych wybit-nych osiągnięć. Rola Mecenasa, pro-tekta postępowego pisma, może dla dramaturgów być przykładem posta-ci bardzo ludzkiej i nieschematycz-nej. Warto już choćby przeczytać od--autorską charakterystykę tej posta-ci, zażywej i zwalistej, z wąsem pół sumiastym, gestykulującej szeroko, wtrącającej z staroświecką „panie dzieciu”. Nie jest to bohater, człowiek dobrej woli, średniego rozumu i wcale nie lekceważący kastetowców. Wypowia-da się za zdrowym rozsądkiem, pra-gnie pokoju i pewności, lecz chwila dziejowa ich nie przynosi, przeciwnie, wzrasta atmosfera wojennego sza-leństwa, potęgując jeszcze jego bez-radność i „migreny. Stanisław Kwas-kowski z powodzeniem współkształ-łował z autorem ten szarą a niebanal-ną postać pozytywnego inteligenta. Stwierzył żywą, jowialną postać czło-wieka z sercem.

Mniej plastycznie wypadły w sztu-ce i nieco też słabiej w widowisku postacie walczące obozu postępowe-go. Bogdan Niewiński i Szczepan Baczynski dobrze różnicując swe role młodego i starego dziennikarza nie o wiele jednak wyszli poza popraw-ność. Henryk Borowski jako zastępca naczelnego miał plan swej roli wy-raźny i interesujący, chciał ukazać przepracowanego i niemal zdziwacza-łego nerwowca, lecz w wykonaniu nie zupełnie przekonywał; położyć to można na karb języka, w który autor wyposażył tę rolę, a który reżyseria nie do końca okróciła, przystosowu-jąc do warunków sceny. Bardzo trud-na była również rola głównego boha-tera sztuki, bardzo publicystyczna, porte-parole i zarazem posągowo-ujęty, niezindywidualizowany auto-portret sceniczny autora. Tadeusz Białoszczyński oddał sugestywnie typ artysty — zrobił też bardzo wiele, aby odbrzmieć swą rolę, nadać na-turalność partiom publicystycznym. Zdołał w pierwszych aktach narzucić wrażenie politycznego obserwatora, marginesowo i z jakąś wytworną nie-dbałością wkraczającego na forum pu-blicznych dyskusji, dopiero u wię-źnia, w obliczu spełnienia się jego przepowiedni, postawa polityczna z

miesiona na taśmę filmową i ujrzy-ją wraz z innymi widzami również cały nasz świat aktorski. Jeszcze więcej uznania należy się jednak re-żyserowi Erwinowi Axerowi, który pośredniczył między tekstem auto-rskim a wykonaniem scenicznym. Spektakl w Teatrze Współczesnym wykazuje, jak poważną rolę spełnić może reżyser i inscenizator obdarzo-ny zarazem nerwem dramaturgicz-nym. Zegadłowicz dał „Domku z kart” rzecz najważniejszą: wiele bystrej i trafnej obserwacji politycz-nej, wiele historycznej prawdy. Lecz Axer oczyścił te zasadnicze wartości sztuki ze stylistycznej mglistości i wieloznaczności, stworzył wyraźny i przejrzysty kształt sceniczny, nada-jąc całości dominantę realistyczną, przy zachowaniu zresztą odrębności języka i stylu autora, aż po pewne elementy ekspresjonistyczne wiąza-nie.

W tekście Zegadłowicza jest wiele pomysłów dramatycznych, scenicznie żywych. Pomysły takie, jak: z wpro-wadzeniem gazeciarza, ze zmianą afiszy, z megafonem i lampionkami, z burzą i bombardowaniem z li-czeniem aut i czyszczeniem portret-ów — zawiera już sam oryginał. Lecz reżyser umiał niektóre jego su-gestie rozwinąć w plastyczne scen-ki. Np. żartobliwe słowa Starosty: Równać! Do szeregu! Maszerować! Axer rozwija w cały obrazek sceniczny: pensjonariuszy odprowadza-jących Starostę do auta. Do reżyse-ra należy również pomysł wyprowa-dzenia Sztorca z redakcji tylnym wyjściem. Lecz niekiedy, może nawet częściej, Axer podnosił wartość przedstawienia przez pominięcie lub osłabienie pewnych sugestii auto-rskich. I tak, aby nie odchyłać całości od realizmu, aby nie podkreślać już przesadnie charakteru symbolistyczne-go sztuki, Axer zrezygnował z całej symboliki plastycznej związanej z pensjonatem „Polonia” — Zegad-łowicz każe upodobnić go w dekoracji do domku z kart, którego mansardy od wstrząsu bombardowania odlatu-ją. U Zegadłowicza Prycz słucha roz-mów z okna pensjonatu, wokół prze-mawiającego Sztorca tworzy się nie-mal zbiorowisko, istny wiec; również scena z żołnierzami radzieckimi ma w oryginalne jeszcze silniejszą wy-mowc: Sztorc podnosi skute ręce zło-żone w pięść, słychać potężniejący

(Dokończenie na str. 9)



Stanisław Jaśkiewicz w roli Premiera w „Domku z kart”

re uzupełnić można stwierdzeniem Erwina Axera, że autor zupełnie nie liczył się z teatrem oraz krytycznymi uwagami o języku sztuki, nie do końca dramatycznie przepracowa-nym (vide: koniec I aktu); o wielo-ści jej stylów, od dramatycznego pa-tosu przez komedię do posługującego się groteską pamfletu.

Jak to się dzieje, że sztuka obciążona tylu błędami formalnymi jest — nawet niezależnie od świetnego wystawienia — sztuką wybitną, sztuką, która pozostanie trwała pozycją repertuarową polskiego teatru, a pra-wdopodobnie z upływem czasu zyski-wać jeszcze będzie na znaczeniu? Ta jemnica tego tkwi w bezspornej praw-dzie jej treści, prawdziwie, którą dys-tans lat będzie tylko potwierdzać. I prawda ta, która na pierwszy rzut oka wydaje się jakaś naga, reporta-żowa — da faktów, już dziś widzimy, jak uklada się w rytm naszej historii narodowej, jak zyskuje poza-dorazną wartość wielkiej przemo-ny. Taką wyższą artystycznie, prze-nośną wartość posiada w gruncie rzeczy każdy z trzech aktów sztuki zmarłego poety.

Oto akt pierwszy: „Skandal w sto-licy”. Redakcja postępowego dzien-nika w sierpniu 1959. Skorfiskowany artykuł odważnego publicysty, litera-ta i malarza Bruno Sztorca po-rusza całą Warszawę, sprowadza do redakcji wizyty i telefony z lewa i...prawa. Widz już tu otrzymuje przekrój polskiego społeczeństwa dwudziestolecia. Bojówka cenerowska demoluje redakcję. Brzyk rozbitej ka-mieniem szyby i gorzkie wyznaczenie pobitego redaktora: „nie, to nie jest nasza ojczyzna” kończą ten akt.

Dwa następne akty Zegadłowicza, „Pensjonat Polonia” i „Dancing”, dzie-jące się w oryginalnie 28 i 31 sierpnia, połączył reżyser w jeden. Od środo-wiska postępowego z pierwszego ak-tu przechodzimy tu do wstecznej in-teligencji zgromadzonej w nadgranicznym lotnisku w ostatnim dniu sierpnia. Pensjonat „Polonia” ma coś z atmosfery „Letników” Gorkiego, tylko lotnisko zważne mocarstwową Polską za kilka godzin się skończy. Tymczasem pensjonariusze dyskutują uspokajająco lub chełpliwie, słów prawdy z ust bohatera „skandalu w stolicy”, Sztorca, słucha z zaintere-

\*) „Domek z kart” — Teatr Współ-czesny w Warszawie. Inscenizacja i re-żyseria: Erwin Axer. scenografia: Mi-kołaj Portus.

Stefan PILLER

# ADAM PACH — LUDOWY POETA PODHALA

WNUK Sabały po kądzieli, rozmilowany we wszystkim, co piękne w górach i góralszczyźnie — Adam Pach swym niewątpliwym talentem kontynuuje działalność Sabały na terenie Podhala.

Działalność poetycka Pacha początkowo zamykająca się w ciasnym terenie Podhala — dziś rozszerza się na całą Polskę za pośrednictwem czasowców, który na wieczorynkach urządzanych w domach czasowców zapoznają się zarówno z talentem Pacha, jak i z pięknym folkloru przez niego oplewanego.

Adam Pach po wczesnej śmierci ojca zmuszony został w bardzo młodym wieku zająć się pracą zarobkową, by pomóc matce w wychowaniu wielodzietnej rodziny. Praca stolarska zdaje się jasno wytyczać koleje życia Pacha. Nic nie wskazuje początkowo na jakikolwiek talent poetycki. Ciężkie warunki życia kierują główny wysiłek raczej ku pracy zawodowej.

Przypadek, który tak oddziaływał na koleje życia ludzkiego — spowodował, że Pach zmienia zawód. Po

skończeniu odpowiedniego kursu, zostaje kontrolerem sanitarnym w Zarządzie Miejskim w Zakopanem. Zawód, który pozornie również nie mógł mieć wpływu na rozwój talentów artystycznych. Jednakże zajęcie to daje Pachowi pewną ilość wolnych godzin po pracy.

I te wolne godziny zdecydowały o dalszym rozwoju duchowym Pacha.

Ciekawe jest, że artystyczne uzdolnienia Pacha przejawiały się początkowo nie w działalności pisarskiej. Zaczął on od rzeźby. — Chrystus, Matka Boska i „świętki” — to tematy, które zaczyna wypracowywać dłutkiem w drzewie. Są to niewielkie figurki do ustawienia na półce w „białej izbie” lub kapliczki do zawieszania na drzewie przydrożnym.

Wartość artystyczną tych prac mógłby ocenić fachowiec. Faktem jest, że rzeźby te na laiku robią wrażenie. Przy pewnym prymitywizmie formy, właściwym dla sztuki ludowej i dla samouka, jakim jest Pach, musy się zauważyć w jego figurynkach pewną myśl i wyrażone uczucie. Chrystus frasobliwy, obnażony, cier-

piący, w postawie siedzącej, wyraża tyle bólu w pochyleniu głowy, w łuku zgiętych pleców, że wprost trudno doszukiwać się formalnych braków w wykonaniu. — Matka Boska tyle wyraża dostojności i spokoju, że znów nie zwracamy uwagi na jakieś usterki czy niedociągnięcia.

W formie wzoruje się Pach na znanych sobie rzeźbach góralskich, na wyszukiwanych figurach starych kapliczek przydrożnych czy równie starych kościółków.

Prócz rzeźb o charakterze religijnym wyrabia Pach przedmioty gospodarskie, więc „warcule” (kotowrotki), łyżniki itp. Prace te budzą w nim szacunek i zamiłowanie do starych form góralskich, kierując jego zainteresowania do studiów nad wszelkimi przejawami sztuki góralskiej.

Jeżeli chodzi o ten okres działalności artystycznej — to niewiele z wyrobionych przedmiotów potrafiłby nam Pach pokazać. Idą one między ludzi, robione na zamówienie albo zrobione dla siebie — znajdują później amatorów, którzy je kupują.

Najbardziej do praktycznego zastosowania przeznaczone wyroby są przez Pacha pięknie i z dużą cierpliwością odrabiane i ozdabiane „po góralsku”. Umiłowanie ornamentyki góralskiej przechodzi w pasję, której nie potrafią zważyć żadne względy natury handlowej. Przedmiot, który można wytworzyć w ciągu tygodnia — Pach opracowuje parę tygodni, męcząc się nad ornamentyką, bez której swego wyrobu nie może wydać.

Ten okres życia, w którym Pach wyżywa się w rzeźbie i studiach przeszłości góralszczyzny, odbił się bardzo silnie na nim i zapłodnił jego umysł, który zaczął zwracać się do poezji.

Asumpt do pierwszych utworów poetyckich daje charakterystyczne dla niego umiłowanie góralszczyzny i obawa, by nie zaginęło to, co w niej było tak ładne.

Tu trzeba nadmienić, że Pach czenił się z wnuczką Jaska Bartusia Obrochty, znanego przewodnika tatrzańskiego i sławnego gęślarza. Tradycje przechowywane w tej rodzinie w dużym stopniu wywarły wpływ na Pacha. Syn wielkiego Bartusia a teść Pacha jest również zwanym grajkiem, żona zaś jego — Bronka Obrochtowa — to skarbniça melodii i gadek góralskich. U nich bywał i czerpał tematy do swych prac Szymanowski, Mierczyński i szereg innych miłośników muzyki góralskiej. — Atmosfera panująca w domu teściów, u których Pach mieszka, wpływała więc prawdopodobnie w dużym stopniu na jego pierwsze wiersze i opowiadania góralskie.

Pierwotnie miały one charakter od twórcy, miały na celu zarejestrować to, co Pach usłyszał, miały zabezpieczyć przed zapomnieniem to, co ojcowie sobie opowiadali i przeżywali. Są to często drobniutki, jednak drobniutki piękne przez swą romantykę, której tyle spotykamy w góralskich gadkach.

Z biegiem czasu Pach nabiera „rozmachu”, zaczyna tworzyć „swoje” rzeczy. Studiując historię Zakopanego i okolicy, a poznawszy fakty — z własnym już naświetleniem ubiera je w formę wiersza.

W tym czasie zaczyna Pach pogłębiać swoje wiadomości językowe, stara się badać poszczególne słowa, eliminować naleciałości, czyścić „język góralski”.

Wreszcie powiększa Pach dalej zakres swych zainteresowań. Zaczyna go interesować góralszczyzna i Zakopane z punktu widzenia społecznego, z punktu widzenia gospodarki, zabudowy, historii.

Bó Pach, to „chłopski filozof” w najlepszym tego określenia znaczeniu. Obserwacje swoje „przetrawia”, każde spostrzeżenie musy przemyśleć

i dopiero ubiera je w swoją, konkretnie zabarwioną formę.

Zajmuje się więc — jak wspomnieliśmy — językiem, badając i czyszcząc go po swojemu, opracowuje także plan zabudowy Zakopanego — znów tak, jak on to sobie wyobraża, tworzy swoją lokalną historiozofię, analizując na swój sposób historię po-



Adam Pach

wstania chochołowskiego, historię Kostki Napierskiego, Janosika itd. Niektóre rzeczy leżą rozpoczęte, inne są jeszcze w sferze pomysłów, które omawia ze znajomymi, interesującymi się jego twórczością.

W okresie pojedyńczym Pach znalazł jeszcze jeden ośrodek zainteresowań — scenę. Oczywiście przedmiotem jego działalności scenicznej jest znów góralszczyzna. Opracowania sceniczne są częściowo jego własne, częściowo innych pisarzy góralskich. Sam Pach jest doradcą literackim, reżyserem, baletmistrzem i artystą kreującym z dużym powodzeniem główne role.

I tu — jak we wszystkim — wkłada w pracę całą swą duszę, całą — stosunkowo bardzo dużą — znajomość przedmiotu i zapał wynikający z umiłowania wszystkiego co góralskie.

Równoległe z tą pracą idzie akcja kulturalna — oświatowa w domach czasowców, która przejawia się w formie wieczorków, na które składają się recytacje samego Pacha, muzyczne występy kapeli Obrochtów i popisy taneczne tychże Obrochtów.

O ile z jednej strony można uznać znaczenie tej akcji, jako zapoznanie całej Polski z dorobkiem kulturalnym Podhala, to z drugiej strony — jeżeli chodzi o twórczość Pacha — jest to pewnego rodzaju rozmięśnianie talentu „na drobne” ze względu na częstotliwość tych imprez, konieczność „fabrykowania suryjnego” gadek, a wreszcie przez powtarzanie ich i przechodzenie na szkodliwą rutynę.

## Zegadłowicz o Polsce

(Dokończenie ze str. 8)

śpiew „Wyklęty powstań” itd. W tych miejscach reżyser pomagał spektaklowi przez dyskrecję, stonowanie, większe uprawdopodobnienie. Bardzo dyskretnie wypadła więc scena z kelnerem-szpiegiem, a dyskretnie, choć mocno — napadu bojów ki (świetne, pełne ekspresji wejście panów w gabardynowych płaszczach) czy spotkania w krasnoarmiejcami. Dekoracje Mikołaja Portusa dobrze i wiernie służyły realistycznej koncepcji całości, a dekoracja obrazu „Dancing” stworzyła z pomocą gry światła sugestię owego czegoś więcej ponad realistyczną wierność.

Praca zespołu Teatru Współczesnego z Axerem nad sztuką Zegadłowicza była niewątpliwie wyjątkowo ciekawym przykładem głębokiej a bardzo słusznej i udanej ingerencji reżysera w tekst pisarza. Ciekawym i pouczającym zarówno dla innych reżyserów, jak i dla dramaturgów, kierowników literackich, krytyków i w ogóle dla ludzi teatru. Należałoby

Ostatnia praca Pacha, która — zdaje się — koronuje jego dotychczasową działalność, to opracowanie libretta do opery, nad której muzyczną stroną pracuje prof. Maklakiewicz, opery opartej oczywiście na tematyce góralskiej, mianowicie na historii Janosika (nawiasem mówiąc ujętej oryginalnie przez Pacha).

Jak zwykle — pracy swej Pach nie wykonuje polowicznie. Opracował on nie tylko libretto, ale również balet, a nawet projekt dekoracji do poszczególnych aktów. Obawa, by ktoś nie zepsuł mu obrazu, który sobie wyrobił — sprawiła, że sam wolał wszystko „zapiąć na ostatni guzik”.

Oczywiście, znów nie jest rzeczą laika analizować i oceniać fachowo wartość libretta, które zresztą ulega ciągle jeszcze zmianom i przeróbkom. Jeżeli wszakże chodzi o zdanie laika — opera wydaje się być udaną w opracowaniu literackim. Po wykończeniu części muzycznej — krytycy spełnią swoje zadanie.

Kończąc w ten sposób omówienie twórczości najpopularniejszego dzieła w Zakopanem poety ludowego, należałoby podkreślić, że w artykule niniejszym nie chodzi o „ubrawowanie” Pacha ani o wyolbrzymienie jego udziału w budowie kultury polskiej. Chodzi tu raczej o zwrócenie uwagi tych, którzy mogliby wartości twórcze Pacha należycie ocenić, na tę na pewno ciekawą sylwetkę człowieka i na jego pracę.

Jest to tym ważniejsze może, że sam Pach nie troszczy się o wydawanie swych prac. Jak sam mówi — nie lubi się prosić i narzucać. W efekcie — wiersze jego znajdują się przede wszystkim w rękopisach, parę zaledwie drobniutkich zostało ogłoszonych. Ostatnio — o ile mi wiadomo — została wydana przez prof. Maklakiewicza jedna kolenda Pacha, do której prof. Maklakiewicz ułożył muzykę.

Trudno więc ocenić, ile wartości wniósł Pach do ogólnonarodowej naszej kultury, nie można jednak zaprzeczyć dużego znaczenia jego twórczości dla terenu, na którym pracuje, i pod tym kątem widzenia zainteresowanie się jego pracą wydaje się konieczne.

Cel całej swej twórczości zamknął Pach w dedykacji góralskich bajek dla dzieci (też tylko w rękopisach), które poświęcił swej córce Krysii — „by nie zapomniana mowa ojców swoich”. I to jest cel, który zasługuje na poparcie i stawia Pacha w rzędzie tych, którzy pewne wartości do polskiej kultury wnieśli.

Stefan Piller

Adam PACH

## Śmierć Bartusia Obrochty

Kielos roków? — wieku ćwierć,  
Kie se Bartuś pod reglami spotkoł śmierć:  
Staryś — skrzeczy — cas juz na cie. caa!  
Dyć nik wiecznie żył nie będzie — gwarczył w reglu las.  
Hej, Bartusiu! — na mój dusiu — na gęślikach groj  
Nim na wieki duch twój leki pódzie w wieny moj.  
I z tom kwilom gęśle kwilom jako dziecie  
Co to przecie? Cary? Cuda?  
Skądże idzie telo luda?  
Sabała naprociw gro — jaz ziemia drgo  
Pódz, krześniacku — ku wiersycku  
Pódz, ze z nami ze staremi kolegami!  
Idzie Bartuś w wielkim tłumie  
i nie wie, nie rozumie.  
Az tu Wojtek Mateja  
Ostatni tatrzański zbójnick  
Krzyknie:  
Bartuś, groj.  
Cy ci zamorz smycek  
u gęśli?  
Zagroł....  
Łzy sie lejom  
Matejowi  
Ostatniemu  
Zbójnikowi.  
Hej, Bartusiu! — twoje gęśle znajom moje sumne chody,  
moje myśli.  
Nadsow kłabuk na talary, a nie puscoj o mnie gwary,  
cujnie strzegom mie ziandary.  
Sabała gro — jaz ziemia drgo.  
Idom dalej poprzec Zawrat do Morskiego,  
Wiedom z sobą kochanego Chafubińskiego.  
I co widzom spoza skały?  
Hań kozicki tańcowały — kie muzicke dosływały,  
Tańcom w koło — tak wesolo!  
Doktór rzece: mocny kany — jaki ten kraj ukochany  
Nuta leci jako woda... gaśnie na górach ślebeda.  
Szymanowski biere Bartka z Harnasiami w pozaświaty,  
W kraj niezmany, kany rosnom same kwiaty  
I z tamtela patrzą z zo chmur  
Cy nie słychno gęśli od gór.

## Ojce nas...

Boze Ojce nas  
Nase myśli dobrze znos  
Kieś ta tworzył naski świat  
Juz wiedzioleś ka zakwitnie wtóry kwiat,  
Co dzioć hędzie się na ziemi  
Dafeć przykoz ... cłek nie słudhno wse go mieni.  
Hej Boze. Boze. Ojce nas.  
Świeć się Imię Twoje w kozdy cas,  
Boś ta królem nad królami  
Króluj ze nom pod Tatrami.  
Królu ducha i serca nasego  
Powiadajom wola Tego, co świat Jego.  
Kie sie zawiść w miłość zmieni  
To nastanie jako w niebie tak na ziemi.  
Nie zabraknie nika chleba, ino dobryk ludzi trzeba.  
Kieś tak będzie — nie dockomy  
Wiara ... duzo złości w sobie moiny.  
Totyz odpuść winy syckim  
Mysłom wielkim i maluczkim  
Nie zawoźd nos na pokuse  
Zbow na świecie syckie duse

Jamont

Zegadłowicz obnażył zarozumiałość, obskurantyzm, bezcelność tamtej warstwy rządzącej. Zadziwiająca przedśmiertna intuicja odsłoniła Zegadłowiczowi wiele z prawdy historycznego rozwoju. To sprawia, że „Domek z kart” jest nie tylko cenną sztuką historyczną, lecz jest zarazem sztuką na wskroś aktualną

Andrzej Odnowa

## KUNST SŁOWA

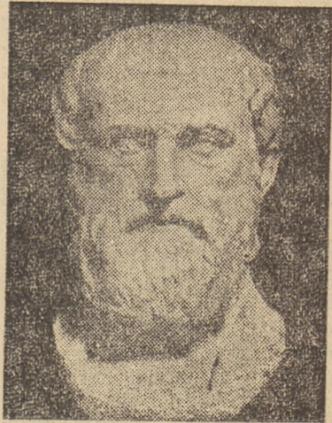
W II Serii Biblioteki Narodowej ukazały się w przekładzie i opracowaniu doc. Uniw. Jagiel., Dr Władysława Madydy, *Trzy stylistyki greckie*: 3-cia Księga Retoryki Arystotelesa, rozprawka Demetriosa *O wyrażaniu się* (może lepiej byłoby grecki tytuł *Peri hermeneias* przełożyć *O wystawianiu*?) i dzieło Dionizosa z Halikarnasu *O zestawianiu wyrazów*. Przekład poprzedza dość obszerny Wstęp, który przedstawia powstanie i rozwój greckiej stylistyki, jej metody, aspekty i cele, znajdujące swój wyraz w pracach teoretyków stylu. Oparali się oni z jednej strony na żywej twórczości z

stylu, które stanowią znów będą ilustracją zainteresowań Greków w tej dziedzinie, ich metod pracy oraz poglądów i zapatrywań na zagadnienia wiążące się z wystawianiem. Ukazujący się obecnie polski przekład *Trzech stylistyk greckich* przeznaczony jest, jak pisze tłumacz, „nie tylko dla filologów klasycznych, ale w pierwszym rzędzie dla neofilologów i tych wszystkich, którzy interesują się słownym sztuką poezji i prozy”. Filolodzy klasycyści wchodzą tu rzeczywiście najmniej w rachubę, są w tym szczęśliwym położeniu, że mogą zawsze w razie potrzeby sięgnąć bezpośrednio do greckiego tekstu. Niewątpliwie jednak znajdzie się i poza nimi niemała ilość ludzi, dla których przeczytanie *Stylistyk greckich* będzie ogromnie pożyteczne i pouczające. Należą tu będą z jednej strony badacze literatury pięknej, a z drugiej — sami pisarze i wszyscy ci, których „urzekła” tajemnica słowa.

Odkrywcą potęgi słowa był Gorgiasz. Było ono dla niego „wielkim mocarstwem”, „czarodziejem”, zdolnym zniewalać dusze słuchaczy i czynić je powolne temu, kto umie się nim posługiwać jako doskonałym narzędziem przekonywania. Bo w pragmatycznym przekonaniu właśnie, zjednywania i pozyskiwania sobie ludzi, zawładnięcia ich myślami i nastrojami, w dążeniu do zdobycia „rządu dusz” — Grecy nazywali to „psychagogia” — widzieć trzeba w Grecji pierwszy impuls do podejmowania świadomych wysiłków stworzenia sztuki wymowy, czyli retoryki, której częścią jest stylistyka. Kunst wystawiania, proza artystyczna, zrodziła się w Grecji z celów praktycznych, z potrzeb codziennego dnia, ze starań zapewnienia sobie doręcznych zwycięstw w sądach i rozgrywkach politycznych. Cyzero donosi, że gdy po upadku tyranii na Sycylii w V w. przystąpiono do rozstrzygnięcia zatargów prywatnych na drodze sądowej, spisali Sycylijczycy, Koraks i Tejjasz, zasady i przepisy sztuki wymowy, której przedtem nikt nie uprawiał w sposób metodyczny. Ten pierwszy podręcznik wymowy musiał mieć w demokratycznych Atenach, rozmiłowanych w procesach sądowych, olbrzymie wzięcie. Opierając się na nim wypracowywano metody techniki przemówień sądowych, wynajdywano i udoskonalano rzeczne chwytliwy adwokackie zapewniające powodzenie w wystąpieniach przed sądem. Teoria retoryczna była początkowo tylko metodyką przemówień sądowych. Wkrótce jednak uświadomiono sobie, że wymowa zapewnia nie tylko zwycięstwo w procesach sądowych, ale stać się może również znakomitym orężem w walkach i rozgrywkach politycznych, w ogóle narzędziem władzy i mocy. Trzeba więc było wyrobić to narzędzie, nauczyć się sposobów argumentowania i udowodnienia swych założeń, umiejętności zbijania twierdzeń czy zarzutów przeciwnika, zdobycia zaufania słuchaczy i wywoływania wśród nich lub też tłumienia wzruszeń i nastrojów. Wielką rolę w nauczaniu sztuki wymowy czy też sztuki przekonywania, przy pomocy której można było wszystkiego dowiedzieć albo przynajmniej wszystko wzmocnić słuchaczom, odegrali sofisci. Dawniejsza teoria wymowy nie zajmowała się sprawą wystawiania. Wymowa tkwiąc w życiu społecznym jako jego funkcja posługiwała się zwykłym, codziennym językiem i samorzutnie korzystała w miarę potrzeby z zawartych w nim pierwiastków emocjonalnych. Ale oto została odkryta *sugestywna potęga* słowa, które już swym brzmieniem, melodią i rytmem zachwycało i porывало słuchaczy i — wprowadzając ich jak gdyby w stan jakiegoś transu — oddawało bezwolnych w ręce mowy-czarodzieja. W radosnym upojeniu z odkrycia potęgi słowa —

zawierającego w sobie moc wielorakiego przedstawiania wydarzeń i siłę oddziaływania na słuchaczy bezpośrednio, niezależnie od treści, przez kojarzące się z nim obrazy i dźwiękowe efekty — próbuje Gorgiasz oderwać wymowę od codziennego języka i sięgnąć do dykcji poetyckiej, w której owe walory sugestywne, elementy plastyczne i dźwiękowe realizowałyby się w całej pełni. *Pierwszym krokiem na drodze świadomego kształtowania wystawiania, czyli stylizowania, było przerzucenie się w poezję*. Kroku tego dokonał Gorgiasz. Wpływ miał ogromny. Jego sposób stylizowania i stosowane przez niego efekty językowe przejęli ci nawet, którzy go zwalczali. Nacisk, z którym występowano przeciwko poetyzowaniu w prozie, wskazuje na uznanie i naśladownictwo, które wywołał.

Reakcja, która nastąpiła niebawem, nie wyrażała się oczywiście w postulatcie powrotu do poziomu impulsywnej mowy codziennej, lecz polegała na dążności do stworzenia odrębnego wystawiania prozaicznego, na określeniu i sprzecywowaniu jego właściwego i swoistego charakteru. W tej dziedzinie zasłużył się przede wszystkim Izokrates. Twierdzi on, że każda sprawa, każda wynikająca z całokształtu takich czy innych okoliczności sytuacja stawia wystawieniu swoje żądania. Z wielu możliwych sposobów wystawiania trzeba wybrać za każdym razem właściwy, to znaczy do niej dostosowany. Ten postulat uzależnienia formy od treści polegała za sobą nakaz nader oględnego i ostrożnego korzystania z dykcji poetyckiej. Stojąc na stanowisku odrębności poezji i wymowy, oczywiście nie głosił przez to Izokrates hasła powrotu do niedbałego, spontanicznego języka codziennego. Sam zresztą nie mógł korzystać z tych walorów, które dzięki ekspresji, intonacji oraz zmienności podkreślania dominant myślowych i uczuciowych przez mimikę i gestykulację posiadało zwykle żywe słowo mówione. Niewygodzone nigdy wielkie „mowy” Izokratesa były właściwie rozprawami przeznaczonymi do czytania. Pozbawiony tych wszystkich pomocniczych elementów wypowiedzeniowych, mógł Izokrates wydobywać momenty ważniejsze, silniej lub słabiej akcentowane pewne motywy, uwypuklać niektóre szczegóły, aby odciągnąć się ostrzej na tle całości i rzucały się w oczy, tylko przez stylizowanie. Stąd też płynnie jego niezwykła jasność.



Lysias

dokładność, precyzyjność wystawiania, tak obca poezji z jej rozmachem i mowie codziennej — z jej swobodą i niedbałością. Trzeba podkreślić z największym naciskiem, że Izokrates oddziaływał nie tylko na kształtujący się w myśl jego wskazań i pod jego wpływem styl retoryczny, ale również — i może jeszcze silniej — na wystawienie prozaiczne w ogóle. W związku z tym jego wpływem tłumaczyć można fakt, że w późniejszej teorii retorycznej dział poświęcony wystawieniu nie ograniczał się do przepisów i wskazówek odnoszących

się wyłącznie do wymowy, ale zajmował się sprawą stylu wszelkich rodzajów twórczości prozaicznej. W ten sposób wyrasta z teorii wymowy stylistyka normująca wystawienie wszelkiej prozy artystycznej.

Na terenie stylistyki dochodzą do głosu dwie tendencje: tendencja jak najbardziej obiektywnego i ścisłego odtwarzania faktów oraz przeciwna wiążąca się jej tendencja subiektywnego ich ujęcia i sugestywnego narzucania tego ujęcia odbiorcom. W związku z pierwszą tendencją pozostaje „zaleta” jasności, z drugą „zaleta” ozdobności stylu. Arystoteles uważa jasność stylu za jedyną jego cechę, która zasługuje bezwzględnie na to, ażeby ją uznać za „zaletę” stylistyczną, odpowiada ona znaczeniu języka jako takiego, który, według Arystotelesa, jeśli „właściwie nie odsłania myśli, nie spełnia swego zadania”. Ozdobność wystawiania jest jednym ze sposobów emocjonalnego oddziaływania na słuchaczy czy też czytelników. Przydaje ona bowiem według Izokratesa nie tylko wdzięku i piękna utworom, ale wzmacnia też znakomicie ich siłę sugestywną. Jeden z późniejszych teoretyków wymowy pisze w swym podręczniku: „Trzeba te dwa postawić sobie cele: przedstawienie sprawy i przedstawienie jej w sposób przyjemny. Nie będziesz bowiem miał władzy nad słuchaczami, nie czarując ich pełnym wdziękiem i uroku przedstawianiem i urozmaicaniem wyrazów”. O używaniu ozdób stylistycznych rozstrzyga takt polegający na subtelnym wyczuciu, kiedy i jak je stosować i w jaki w ogóle sposób, zależnie od innego za każdym razem spłotu warunków i owiewającej dany temat atmosfery, kształtować wystawienie. Takt jest główną „zaletą” stylu. Zasadniczym bowiem postulattem i wytyczną starożytnej dydaktyki stylistycznej jest postulat „stylu odpowiedniego”. Podporządkowanie się tej naczelnej zasadzie, zasadzie „stylu odpowiedniego”, decyduje o wartości wszelkich zabarwień stylu. Arystoteles, idąc za Izokratesem, kładzie największy nacisk na konieczność znalezienia za każdym razem stylu właściwego, to jest dopasowanego do gatunku literackiego, tematu, osoby mówiącego, nastroju słuchaczy i wszystkich okoliczności towarzyszących. W zależności od tych wszystkich czynników staje się dopiero, pisze, „wzniosłość” albo „wdzięk” „zaletą” stylu. Teofrast, uczeń Arystotelesa, ustalił cztery „zalety” stylu: poprawność, jasność, ozdobność i takt. Późniejsi teoretycy dzielili „zalety” stylu na dwie grupy. Do pierwszej zaliczali poprawność, jasność oraz zwięzłość, polegającą na tym, że „się nie mówi więcej niż trzeba”. Były to nie tyle „zalety”, ile raczej niezbędne cechy stylu każdego wykształconego człowieka. Druga grupa obejmowała „zalety” właściwe wystawieniu artystycznemu: plastyczność, wdzięk, siłę, wzniosłość, które sprowadzały się do dwóch kategorii: powabu i piękna, lub, mówiąc inaczej, piękna surowego i piękna ponętnego.

W związku z badaniami literackimi i ze stwierdzeniem w wystawieniu poszczególnych autorów tych czy innych „zalet” stylu wyodrębniono różne „rodzaje stylu”. Przeważał podział na trzy „style”: skromny, wzniosły i średni. Demetrius wprowadza cztery rodzaje: nieozdobny, okazany, gładki i potężny. Zastanawiano się, który z tych „rodzajów stylu” jest najlepszy i jaki „styl” uprawiającego mówcę należy obrać za wzór do naśladowania. Obok poglądu głoszącego równorzędność wszystkich „stylów”, spotykamy się z hasłem naśladowania „skromnego” stylu Lizjasa i z twierdzeniem, że jedynym właściwym stylem retorycznym jest styl „wzniosły”. W różnorodności tych zdań widzimy ściera-



Arystoteles

jące się z sobą tendencje odtwarzania i przetwarzania rzeczywistości. Ale naczelna zasada stylistyczna domagająca się dopasowania stylu do całokształtu warunków zewnętrznych i owiewającej je atmosfery, łagodzi te spory. Cyzero twierdzi, że prawdziwym mistrzem będzie ten, kto potrafi zależeć od okoliczności, władać wszystkimi „rodzajami stylu”, mówić skromnie, gdy trzeba, umiarkowanie i wzniosło w różnych momentach swego przemówienia. Dionizjusz widzi urzeczywistnienie tego postulatcie mieszania „stylów” w wystawieniu Demostenesa, który łączy, według niego, cechy stylu: „skromnego” i „wzniosłego”, a raczej mieni się i lśni mnóstwem zabarwień. Hermogenes powiada, że nie tylko Demostenes, ale każdy autor łączy i sprzęga w swym wystawieniu różne zabarwienia i odcienie. Indywidualny styl danego autora zależy od tego, jaką skalą odcieni rozporządza i jakie zabarwienie przeważa w jego wystawieniu. Mistrzostwo zaś polega według Hermogenesa na umiejętności posługiwania się wszystkimi elementami stylu, aby — zależnie od nakazów całego zespołu różnych za każdym razem momentów zewnętrznych i wewnętrznych nastawienia — kształtować swe wystawienie. W tym ujęciu mistrzostwo wyraża się wytyczną w stylistyce zasada „stylu odpowiedniego”.

Do sposobów, przy których pomocy można uzyskać różnorodne zabarwienia i, co za tym idzie, możliwość przedstawiania rzeczy w wielorakich aspektach należą tropy i figury. Polegają one na zastępowaniu pospolicie używanych wyrazów i ich zestawień przez wyrażenia i sprzęgi nowe i niezwykłe. Ta niezwykłość już zwraca uwagę i budzi zainteresowanie. Przez stosowanie figur można dalej przedstawić daną rzecz w zasięgu jakiegoś nowego skojarzenia lub w jakimś istniejącym, lecz nieodgadniętym i niepodkreślonym lub za słabo zazwyczaj podkreślonym związku z innymi rzeczami i uzyskać dzięki temu głębsze i bardziej syntetyczne jej ujęcie. Przy pomocy tropów i figur można wydobyc i wyolbrzymić pewne cechy przedstawianej rzeczywistości lub je na odwrót zaciemnić, pomniejszać, uwypuklać w konkretnym kształcie lub je tylko zaznaczać w ledwie dostrzegalnych zarysach zgodnie ze swym zamierzeniem twórczym i nastawieniem psychicznym. Teoretycy starożytni omawiając różne rodzaje figur i tropów, podkreślali z całym naciskiem konieczność umiarkowanego i taktownego ich używania. Nie powinny być nigdy celem same przez się ani służyć chępliwości i chęci popisania się autora. Użyte w nadmiernej ilości, przesadnie i bez wewnętrznego uzasadnienia odpychają. Rażą „mroźną” niejako brakiem dobrego smaku.

Przy stylizowaniu ma się do czynienia nie tylko z doborem wyrazów ale również z ich zestawieniem. Sprawy zestawiania wyrazów poświęcone jest właśnie dziełko Dionizjosa, ukazujące się teraz w polskim



Izokrates

jej różnymi i często ścierającymi się z sobą kierunkami i tendencjami artystycznymi, a z drugiej — oddziaływali znów i wpływali na tę twórczość przez swe wskazania i przepisy. Badając dzieje stylistyki greckiej zatrzymujemy się z konieczności jak gdyby przy węzłowych punktach jej rozwoju — przy osobistościach, które wytyczały jej bieg bądź przez nowe ujęcia, bądź przez przeciwstawianie się dawnym poglądom, przez ich modyfikowanie, rozwijanie czy też uzgadnianie z dawniejszymi tendencjami. Takimi czołowymi postaciami są tu Gorgiasz, Izokrates, sofista Trzymachos oraz inni sofisci, zwalczający ich Platon, Arystoteles, Teofrast. Ich nauki i poglądy przyjmowane były, opracowywane, przerabiane, komentowane i posuwane naprzód w szkołach retorycznych. We Wstępie charakterystyczne zostały te czołowe osobowości oraz omówione badania i prace nad stylistyką w okresie późniejszym, w czasach hellenistycznych tudzież początkach cesarstwa rzymskiego. Najwięcej miejsca i uwagi poświęcono, rzecz prosta, Arystotelesowi, Demetriosowi i Dionizjowski, z których pracami ma się właśnie czytelnik zapoznać. Ostatnim wybitnym teoretykiem stylu omówionym we Wstępie jest żyjący na przełomie II i III wieku po Chr. Hermogenes, który stworzył swój własny system, cieszący się, jak wskazują liczne komentarze do jego prac, wielkim uznaniem w późniejszych szkołach retorycznych. W ostatnim rozdziale Wstępu prof. T. Milewski (on bowiem jest autorem tego rozdziału jak również I rozdziału Wstępu; por. uw. str. III), po zaznaczeniu, że jeszcze w XX wieku w dziedzinie stylistyki poruszano ciągle jej greckie ujęcia w „degenerowanej, szkolarskiej postaci”, stawia pytanie, jaki jest stosunek nowoczesnej stylistyki do stylistyki greckiej. Z trzech powstałych w nowszych czasach szkół stylistycznych najodleglejszą od założeń stylistyki greckiej jest, zdaniem autora, szkoła niemiecka, rosyjska wykazuje pewne punkty styczności ze stylistyką grecką, a francuska pojmując stylistykę w podobny sposób jak Grecy i opiera się na ich tradycji. Nakreślony we Wstępie w ogólnym zarysie cały, jak widzimy, rozwój badań stylistycznych w Grecji ma ułatwić zrozumienie *Trzech styli-*

# GROZA JEDNEJ STATYSTYKI

przekładzie. Dionizjos wraz z innymi teoretykami podkreśla, że artyzm stylu zależy od umiejętności łączenia ze sobą wyrazów bodaj że w większym jeszcze stopniu niż od właściwego ich doboru. W obręb tego działu stylistyki wchodziło pocięcie toku mowy na poszczególne człony, szeregowanie zdań i periodyzacja, tudzież przez odpowiedni układ wyrazów uzyskiwany rytm. Starożytna proza artystyczna była rytmiczna, przy czym rytmy występowały najbardziej wyraźnie przy końcu okresów. Teoretycy omawiali szczegółowo różne rodzaje rytmów odpowiednich dla prozy artystycznej. W obręb badań tego działu stylistyki wchodzi dalsze rozważania nad sposobami udźwięcznienia mowy (pamiętajmy, że Grecy czytali głośno), opierające się na subtelnej analizie fonetycznych właściwości samogłosek i spółgłosek. W artystycznej prozie unikano zasadniczo „rozziwów”, to jest zetknięcia się wyrazu zakończonego na samogłoskę z wyrazem rozpoczynającym się od samogłoski. Zalecono dalej wystrzegać się zbiegu jednakowych spółgłosek, powtarzania tak samo lub podobnie brzmiących sylab, jeżeli nie uzyskuje się przez to specjalnych efektów, oraz szeregowania obok siebie większej ilości wyrazów jednozgłoskowych. Jan Parandowski w swej *Alchemii słowa* pisze na str. 246: „Osobny rytm prozy, różny od mowy wiązanej, właściwa jej forma i melodyjność, rola rozwiniętych okresów i zdań krótkich, ich wzajemne stosunki, ich rozmieszczenia w budowie poszczególnych ustępów są zupełnie tajemnicą dla czytelnika, który ulega ich czarowi raczej nieświadomie”. Ten z sugestyjną siłą działający czynnik, jego polot i lekkość czy powaga i powaga, są dziełem kunsztu, wytworem w ciężkim nieraz, lecz radosnym zarazem trudzie zdobywanej sztuki. W arkanie tej sztuki wprowadza nas Dionizjos, wprowadzając inni starożytni teoretycy stylu. Pokazują, w jaki sposób tworzywo słowne otrzymuje swój kształt artystyczny. Ilustrują przykładami osiągnięcia i niedociągnięcia mówców i pisarzy i usiłują odkryć przyczyny ich powodzenia czy niepowodzenia. Badając i oceniając, pouczają i przestrzegają, nie przestają podkreślać konieczności posiadania intuicji twórczej, posiadania talentu. On dopiero umożliwi wyczuwanie właściwego momentu, dary owym taktem, o którym jako naczelnej zasadzie stylistycznej była mowa. Warto przytoczyć tu słowa jednego z krytyków greckich: „Najważniejsze jest to — pisze — że właśnie teoria musi nas pouczyć, że istnieją w twórczości rzeczy, które tylko talent sprawić może”.

Tak oto wyglądają główne wytyczne stylistyki starożytnej, jej jak gdyby „hasła”. We Wstępie nie zostały one może z należytą wyrazistością naświetlone i uwypuklone. Ich zrozumienie i przemyślenie powinno ułatwić i ożywić lekturę *Trzech stylistyk greckich*. Polski czytelnik dostaje je do ręki w zupełnie dobrym przekładzie. Tłumacz nie szczędził starań i wysiłków, ażeby jak najrzetelniej wypełnić swe zadanie. Przekład dzieł zawierających terminy retoryczne, wielką ilość cytowanych ujęć poetyckich, analizę muzycznych elementów stylu (prozodii, rytmów, onomatopei itp.) nstręczał bardzo duże trudności. Trzeba podkreślić z uznaniem, że tłumacz rozwiązał je na ogół szczęśliwie.

M. C.

brutalny wobec kobiet, dziki wobec mężczyzn” (reklama filmu „Pocałuj mnie jutro”).

„Przyjdź, a zobaczysz człowieka żywcem ugotowanego na parze...” (reklama filmu „Morderstwo w pokoju nr 475”).

„Spiesz oglądać najbardziej podniecające lądki Ameryki” (the most exciting calves in the US — reklama filmu „Scałuj krew z moich ust”).

Jeden z polskich dziennikarzy, będąc niedawno w Ameryce, dokonał interesującej statystyki. Liczył mianowicie w ciągu jednego tygodnia wiersze w 8 dziennikach nowojorskich i stwierdził co następuje: 57% miejsca zajmują w prasie reklamy, 14% kroniki zbrodni i ich opisy, 9% historyjki rysunkowe, 8% skandale rozwodowe i tematyka seksualna. Polityka międzynarodowa i wewnętrzna zajmują zaledwie 5% miejsca, zaś recenzje z książek i sztuk scenicznych — mniej niż 1%...

Za prasą i filmem nie pozostają w tyle telewizja. Oto kilka danych zaczerpniętych z czasopisma „Television Magazine” (cyt za St. Arskim). W ciągu jednego tylko tygodnia stacje telewizyjne w Los Angeles nadały programy zawierające: 127 morderstw, 101 wypadków „usilowanego zabójstwa”, 350 wypadków usiłowania zabójstwa, 93 wypadki porwania dzieci, 3 wypadki torturowania ludzi rozpalonym żelazem. Taka oto porcja „wrażeń” zostaje zastrzyknięta przeciętnemu Amerykaninowi w ciągu siedmiu zaledwie dni! Dodać warto, że 70% tych programów przypadło na audycje dla dzieci i młodzieży. Nadaje to całej sprawie zupełnie już oschliwy posmak.

A literatura? Poważną literaturę powieściową stanowią w ogromnej większości tzw. powieści psychologiczne, grzebiące się z zasadą w patologii, perwersjach i anomaljach, w najgłębszych brudach ludzkiej duszy. Oto charakterystyczne zdanie z recenzji w „New York Times”: „Powieść pani Yorke właśnie dlatego, że jest jeszcze bardziej niemoralna, ma o wiele większe powodzenie”. Ale nawet i te książki, które wszak bądź co bądź, posiadają jeszcze jakieś ambicje literackie, mają nader ograniczony zasięg czytelników. Podstawą strawy duchowej Amerykanina są osławione „comic books” — historyjki w obrazkach — których nakłady biją wszelkie rekordy, a poziom jest tak niewiarygodny, że wzbudził on protesty przeciw rozpowszechnianiu tego typu „literatury” — nawet w brytyjskim parlamencie! Oto co pisze Geoffrey Wagner w londyńskim piśmie liberalnym „New Statesman and Nation”:

„...Tandetnie drukowane na czterdziestu osmiu zbrozurowanych stronach, ozdobione krzykliwą okładką, sprzedawane są (comicy) po 10 centów za sztukę. Teksty towarzyszące obrazkom są najbardziej prymitywne. Często dialogi między bohaterami zastępowane są wykrzyknikami w rodzaju „Och!”, „Au!”, „Brr!”, którymi reagują oni na zadawanie gwałtu. Albowiem gwałt i pornografia stanowią istotną treść comic books”.

W roku 1948 wydano w USA (dane z książki Legmana „Love and Death” New York 1949) przeszło 700 milionów egzemplarzy „comiców”, co stanowiło 87 (słownie osiem dziesiąt siedem) procent całej produkcji wydawniczej kraju! Każde dziecko amerykańskie polyka tygodniowo 2—3 takie książeczki; czytają je masowo również i dorośli. Zarobki przedsiębiorstw wydających „comicy” idą w dziesiątki milionów dolarów rocznie. Co trzecie drzewo ścięte w Kanadzie na papier zużyte zostaje na „Comicy”...

Nie będziemy dalej mnożyć tych danych. Dla dopełnienia obrazu posłużymy się jedną tylko jeszcze cyta-

ta, szczególnie interesującą nie tylko ze względu na treść, ale i na osobę autora. Autorem poniższych wynurzeń jest bowiem nie kto inny jak znany w Polsce przedwzrostowej reakcyjny pisarz i publicysta Adolf Nowaczyński, człowiek o przekonaniach ultra-prawicowych, którego przecież nie można posądzać o jakąkolwiek politycznymi względami podkretowaną „anty-amerykańską stronniczość”. Oto co musiał przyznać pan Nowaczyński (miesięcznik „Tęcza” Poznań, październik 1937):

„...Znamy tę Amerykę dolarową jak zły szeląg z ohydnych wpływów, jakimi zaraża stary, kulturotwórczy kontynent europejski... Przed dalszą amerykanizacją ludzkości należy naj stanowczej ostrzeż i nie powinno w żadnym języku... zabraknąć dokumentów pisanych, że swego czasu przeciw wysmokogowanemu barbarzyństwu z Dalekiego Zachodu także pró testowano... Ameryka dzisiejsza, to emporium zbrodniczości przestępstw, narkomanii, degeneracji i stadowych obsesji. Pół miliona w zakładach dla obłąkanych. Skorrumpowana do szpiku kości „nawierzechnia” polityczna. Przepelnione nonsensami ustawodawstwo. Operetkowe sądownictwo. Alkoholizm małoletnich. Fała wcielklizny rozwodowej. Marchuana for general czyli narkotygowany tytoł uprzyśtetniony w papiercach dla plebsu. Kidnaperstwo, nudyżm, bezkarność sfery reporterskiej, terror brukowej, kryminalistycznej prasy. Cyfrowo: 3,5 miliona utrzymuje się z fachu bandyckiego, co 40 ty przechodzi na ulicy przestępca, co godzina w Stanach jedno morderstwo, co 20 sekund kradzież, co 16 ta rodzina raz w roku okradziona, co 84 ty obywatel pada ofiarą napaści...” To jest portret Ameryki.

Otoż jest rzeczą najzupełniej zrozumiałą, że tego rodzaju „styl życia” nie może nie wpływać i całego społeczeństwa. Tu tkwi sedno całego problemu. W takim tylko klimacie bezdusza, w atmosferze na wskroś przesiąkniętej cynizmem i zgnilizną, zatrutej chłdnym odorem rozkładającego się ustroju — tylko na takiej pożywe mogła wyrosnąć ta straszliwa statystyka obłądu, którą przytoczyliśmy na wstępie naszych rozważań.

## KRYZYS CYWILIZACJI?

„W trakcie ewolucji społecznej życie staje się coraz bardziej skomplikowane, przystosowanie się coraz trudniejsze, konflikty psychiczne coraz mocniej wychodzą na jaw. Dlatego to choroby umysłowe szerzą się właśnie w najwyżej cywilizowanych społeczeństwach”. Takim oto wyjaśniającym komentarzem zaopatrza za mieszczoną na wstępie tego artykułu tabelkę amerykański neurolog prof. G. W. Poolek.

Wypowiedź ta jest niezmiernie typowa. Rosnąca fala chorób umysłowych jest w tym ujęciu nicu niemiernym następstwem współczesnej cywilizacji technicznej. Następstwem, którego się nie da ominąć: jest jakimś ponurym fatam, straszliwym haraczem płaconym przez ludzkość za wygody cywilizacji dwudziestego wieku. Oczem społeczeństwa ukazuje się znowa powolnej lecz nieodwracalnej degeneracji biologicznej i umysłowej gatunku Homo. Na takim to właśnie gruncie wyrastają jak grzyby po deszczu wszelkiego typu panicznie, beznadziejnie, pełne jakiegoś katastroficznego loku teorie o „ślepej uliczce”, w którą zabłądziła nieodwołalnie ludzkość, o kryzysie cywilizacji.

Otoż wszystkie te interpretacje — jakkolwiek mogą się wydawać „efektowne” — są albo grubym nieporozumieniem, albo celowym fałszowaniem prawdy. Uderzają one w starą i bar-

(Dokończenie ze str. 2)

dzo już ograna nutkę. Na ten temat wypisano już na Zachodzie wiele grubych tomów. Pisarze i myśliciele — tacy jak Huxley, O'Neill, Malraux — widząc narastające wokół siebie zło, a nie potrafiąc dostrzec źródła, z których sęczy się w życie społeczne moralna trucizna, popadali w skrajny pesymizm i traclli czas i zdolności na pisanie dekadentkich książek o głębokim, organicznym kryzysie całej naszej cywilizacji, która jakby od samych swych fundamentów „pomysłana” została źle (zupelnie tak, jakby człowiek całkowicie do wolnie, według swego widzimisię „wymyślił” sobie i stworzył takie a nie inne formy życia społecznego). Oto co widzi wokół siebie jeden z najzdolniejszych brytyjskich krytyków literackich, Cyryl Connolly: „Fod maską samolubnego spokoju nie ma nic — prócz goryczy i nudy... Kieży myślę o nagromadzeniu się przewinień i wyrzutów sumienia, które jak wielki śmieciak nosić muszą przez całe swe życie — czuję że Człowiek jest ze wszystkich stworzeń istotą biologicznie najgorzej uorganizowaną. Po cóż dano mu 70-letni odcinek czasu na życie? Czy po to tylko, aby okres ten zatrwał wciąż nieuleczalnie przez sam fakt swego istnienia?... Kieżyż to „ja” pęczęło cuchnąć? Ci z nas, których wychowano jako chrześcijan i którzy stracili wiarę, zachowali jednak chrześcijańskie poczucie grzechu — lecz już bez kojącej wiary w odpuszczenie. To zatrwa nasze myśli i paraliżuje wszelką naszą działalność” (C. Connolly, „Palineurus”, The Unquite Grave). Zły jest z istoty swej człowiek, zła, bez sensowna i winna wszystkiemu jest cała stworzona przez cywilizację. To jest myśl przewodnia.

Ale, podkreślamy raz jeszcze, nutka ta jest zbyt stara i zbyt często słyszana, by nie budziła podejrzeń i nie kazała się domyślać już a priori — nawet bez bliższej analizy faktów — jakiej tu głosiciele „kryzysu cywilizacji” dopuszczają nie sofistyk i o co w gruncie rzeczy chodzi. Sprawa, której tu dotykamy, należy do rzędu zasadniczych; ma ona wydzwięk ogólniejszy; do ogólniejszych też składają wnioski.

## KONRAD czy CONRAD

(Dokończenie ze str. 5)

barw życia, nowej aktualności — od czytane przez dzisiejszego czytelnika.

A przecież nie wolno zapominać, że już w roku 1929 radziecki tłumacz i znawca Conrada zwrócił uwagę na humanitarną ideologię i społeczny charakter jego dzieł. W krytycznym wstępie do „Wyboru pism J. Conrada” (Moskwa-Leningrad 1924-1926, t. I—V, Gószdad) Eugene Lann pisał:

„Po tych wszystkich wyspach i dalekich archipelagach prowadziło go sumienie artysty i człowieka, a nie wstępny artykuł Timesa. I wszędzie, na tych wszystkich różnokolorowych ziemiach ujrzał jedno — ludzkie ciepłe serce”.

Zachodnio-europejscy badacze Conrada z natury rzeczy nie zwracali uwagi na tę stronę jego twórczości, polskie zaś prace okresu międzywojennego przeważnie pomijały ją milczeniem, a niejednokrotnie umyślnie podkreślały konserwatywną postawę wielkiego pisarza. Nikt nie potrafił — jak dotąd — ukezać przemiany Konrada w Conrada, który mimo swego „nom abrégé” (jak je Lann nazywa) pozostał pisarzem żywym, polskim i współczesnym.

Nadzwyczaj skomplikowana psychika autora „Nostroma” nie dopuszcza

Chwył myślowy, o którym mowa, polega na niedopuszczalnym mieszaniu pojęć. Zło, którego korzenie de facto tkwią w konkretnym ustroju społecznym, w chorej, wadliwie funkcjonującej, ale przecież usuwalnej organizacji społecznej — kładzie się lekką ręką na karb jakiejś nader ogólnikowo i mgłnie pojętej „cywilizacji w ogóle”; w ten sposób mydli się czy opinii publicznej ukazując urojone tego zła przyczyny. Ale faktów nie da się zatrzeć tego rodzaju wybiegiem! Ludzie wy machujący straszakami „kryzysu cywilizacji” popełniają — świadomie czy nieświadomie — błąd polegający na stawianiu znaku równości między współczesną cywilizacją przemysłową i związaną z nią specyficznie, wielkomięjskimi formami życia a zrodzonym przez tę cywilizację przejściowym systemem ekonomiczno społecznym — konkretnie mówiąc, systemem kapitalistycznym. Kryzys istotnie jest. Staje się on z dniem każdym coraz bardziej dramatyczny. Ale jest to dramat systemu, nie cywilizacji. Tych dwu rzeczy utożsamiać nie wolno — pod grozą zabrnąć a w takie właśnie bez nadziejne żułki dekadentyzmu, w jakich wikła się wielu skądinąd mądrych i uczciwych ludzi na Zachodzie. Zresztą błąd, o którym mowa, jest właściwie rzeczą zrzucimiałą. Po pełniają go przecież ludzie idące w zrońcie z tamym ustrojem, ludzie będący w każdym calu jego produktami; ludzie, w których przekonaniu taka właśnie organizacja społeczeństwa jest jedyną możliwą. Dlatego właśnie ludzie ci, pozbawieni busoli, ślepi politycznie, zdezorientowani, upatrują źródeł zła w „cywilizacji jako takiej”, uważając ją za nieodłączną od wyznawanego przez siebie porządku ekonomicznego. Nie widzą — lub nie chcą widzieć — możliwości radykalnego uzdrowienia stosunków „po prostu” przez zmianę tego porządku. Stąd właśnie ten uparci powtarzający się, chórálny, rozpaczliwy bełkot o „biologicznej i umysłowej degeneracji ludzkości” i o „ślepej uliczce, z której nie ma wyjścia”. Jest w tym zarno prawdy. Bo wyjścia nie ma w istocie; ale nie ma go tylko dla ustroju, ustroju, którego obude oddają takie portrety jak cwa tabelka, którą przytoczyliśmy na wstępie.

Tadeusz Bieliński

**CZYTAJCIE**  
„SŁOWO Powszechne”  
PISMO CODZIENNE

stosowania jakiejś uproszczonej metody badania i myśliby się ten, kto chciałby jego postać wtłoczyć w schematyczne, z góry zakreślone ramki. O takim to zapewne „wykwintnym prostaku” myślał Conrad, pisząc pod koniec życia w „Duszy wojownika” — szczytowym osiągnięciu formy krótkich opowiadań:

„Wnieksował w ten sposób o postępkach ludzkich, jak gdyby człowiek był czymś tak prostym, jak — dajmy na to — doca kije złożone na krzyż. Tymczasem człowiek jest znacznie więcej podobny do morza, którego ruchy zbyt są złożone, żeby można je wytłumaczyć i, które ze swej głębi każdej chwili może wydać Bóg wie co”.

Toteż nie stawiając sobie założenia usilnej repolonizacji Conrada, mam przecież nadzieję, że uważne, troskliwe prześledzenie powikłanych dróg jego życia i myśli pozwoli przywrócić należne mu „miejsce w szeregach”, o które tak gorąco walczył, i da odpowiedź na postawione w tytule pytanie.

Ten zaś szkic niech będzie skromną zapowiedzią powrotu Conrada do Polski — w pełnej chwałce wielkiego pisarza, myśliciela i człowieka.

Jerzy Krzyżanowski

# Kilka słów o:

## teatrze

### „ARTOS” NA WSI

Coraz częściej zespoły artystyczne Artosu zaglądają na wieś. W chwili obecnej blisko 80% ogólnej liczby zespołów Artosu wstępuje w spółdzielniach produkcyjnych, PGR-ach i gromadach. Reakcja ludności wiejskiej na występy, ich życzenia i uwagi są poddawane dokładnej analizie i studiom. Ustalono m.in., że przeważają część ludności wiejskiej pragnie oglądać przedstawienia pełnospektaklowe, związane z aktualną tematyką wiejską. Na tej podstawie Oddział Warszawski Artosu opracował dwa pełnospektaklowe przedstawienia sztuk „Rodzina” K. Korcińskiego oraz „Spotkanie u Ani” E. S. Burego. Sztuki te grane od 1 czerwca na wsi przez zespoły teatralne Artosu cieszą się dużym powodzeniem.

### NOWA SZTUKA W „COMEDIE CAUMARTIN”

Znani postępowi artyści francuscy, Danielle Delorme (bohaterka filmu „Bez adresu”) i Yves Montand, popularny piosenkarz (bohater filmu „Cena strachu”) będą grali głównie role w czołowym teatrze Paryża „Comedie Caumartin”, w sztuce Jules Supervilles „La belle au bois”.

### CO SIE DZIEJE W TEATRACH MOSKWI

Wiele teatrów Moskwy rozszerzyło swój repertuar sztukami o tematyce współczesnej. M.in. Teatr im. Mossiewu pomimo przygotowań do wystawienia „Somow i inni” Gorkiego pracuje nad współczesnymi sztukami: „Wielkie kłopoty” L. Lencza w reżyserii A. Szapsa, którą przygotowuje J. Zawadzki „Barbara Wolkowa” — A. Sofronowa i A. Szejnina — „Wielki szlak”.

Wkrótce na sceny moskiewskich teatrów wejdą dwie sztuki dramaturgów chińskich. Jedną, to „Czu Yuan” pióra Kuo Mo-žo, laureata międzynarodowej nagrody Stalinowskiej „Za utrwalenie pokoju między narodami”. Wystawia ją teatr im. Jermolowej w przekładzie N. Fiedorenko. Druga sztuka „Oni wyrosli w walce” Chu-Ke o walce narodu chińskiego o wolność i niezależność. Wystawia teatr Armii Radzieckiej.

## — filmie

### FILM O BIELIŃSKIM

Niedługo ujrzymy u nas nowy film produkcji radzieckiej pt. „Bielński”. Film opowiada o życiu rosyjskiego krytyka literackiego i filozofa — Wissariona Bielińskiego. Postępowa działalność Bielińskiego odegrała oświeceniową rolę w walce z wolnościowym narodem rosyjskiego przeciwko caratowi i państwu, nie w latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego stulecia. Film wyprodukowała wytwórnia leningradzka, realizatorem jego jest reżyser G. Kozinczew. Oprawa muzyczna jest dziełem D. Szostakowicza, w roli tytułowej występuje S. Kurilow.

### NOWE FILMY KOREAŃSKIE

Mimo trudnych warunków wojennych, młoda kinematografia Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej pomysłnie się rozwija. Niedawno państwo wa wytwórnia filmowa ukończyła dwa nowe filmy fabularne i jeden dokumentalny. Film fabularny „Niszczyciele samolotów” opowiada o bohaterstwie czynach żołnierzy koreańskiej Armii Ludowej. Film „Zwiadowcy” poświęcony jest

życiu i bojowym zadaniom zwiadowców Koreańskiej Armii Ludowej.

Tematem filmu dokumentalnego „Gospodarze ziemi” jest walka chłopów koreańskich o wysokie plony.

### „GIL BLAS” NA EKRANIE

André Michel, utalentowany reżyser francuski, realizuje adaptację znanej sztuki teatralnej Lesage’a „Przygody Gila Blasasa z Santillon”. Reżyser ten jest twórcą adaptacji trzech nowel Maupassanta pt. „Trzy kobiety” i świetnej ilustracji filmowej znanego poematu Aragona „La rose et le reseda”.

### CO DECYDUJE O PRYZNANIU NAGRODY

Związek Pisarzy Filmowych w Stanach Zjednoczonych (Screen Writers Guild) przyznał nagrodę za najlepszy scenariusz filmowy r. 1952 — Foremanowi za „Ogniste południe”.

Przyznanie nagrody reżyserowi o postępowych poglądach wywołało wielkie niezadowolenie reakcyjnych kół producentów hollywoodzkich, w następstwie czego Foreman nie tylko, że został wpisany na „czarna listę”, ale pozbawiony pracy. Niejaki pan W. J. Wilkinseon napisał na łamach „The Hollywood Reporter”, że „w obecnych warunkach wewnętrznych i międzynarodowych talent literacki nie ma znaczenia przy wydawaniu oceny o autorze filmowym”, bo „gdy człowiek używa swego talentu na to, by zdobyć dolary amerykańskie, które bezpośrednio lub pośrednio są użyte na rzecz akcji zmierzającej do obalenia naszej formy rządu — to lojalny Amerykanin nie powinien głosować za przyznaniem takiego człowiekowi nagrody”.

### NOWE FILMY DEFY

Niemiecka wytwórnia filmowa „Defa” przygotowuje szereg nowych filmów. Obecnie Karl Georg Egel i Kurt Bortfeld kończą prace nad scena-

riuszem filmu „Kaj V”. Reżyserem jego będzie Gustaw von Wagenheim.

Film „Kleine und grosse Glück” reżyseruje Martin Hellberg wg scenariusza Paula Wiesnera.

W następnej kolejności realizowane będą „Hexe” i „Kein Hüsung” według znanego eposu Fritza Reutera, oraz wg scenariusza Maxa Jensena „Eine kleine Sommerferienliebe”.

## — literaturze

### 70-LECIE URODZIN GŁADKOWA

Niedawno znany pisarz radziecki, F. Gładkow, obchodził 70-letnie rocznicę urodzin. W ciągu 35 lat władzy radzieckiej dzieła F. Gładkowa wyszły w 163 wydaniach w łącznym nakładzie ok. 5 milionów egzemplarzy. Przełożono je na 26 języków.

Zarząd Związku Pisarzy Radzieckich ZSRR w życzeniach przesłanych F. Gładkowi w związku z 70 leciem jego urodzin pokreślił zasługi pisarza dla rozwoju kultury radzieckiej.

### DELEGACJA PISARZY RADZIECKICH

Niedawno przybyła do Warszawy delegacja pisarzy radzieckich z Litewskiej Socjalistycznej Republiki. W skład delegacji wchodzi: Antanac Venolowa — członek Rady Najwyższej ZSRR, znany pisarz Laureat Nagrody Stalmowskiej; Juczas Baktuszis — Członek Rady Najwyższej Litewskiej Socjalistycznej Republiki, autor cieższej się dużą popularnością sztuki „Pieć koguty”. Literaci radzieccy przybyli do Polski w związku z mającą się odbyć ekshumacją i przewiezieniem do Ojczyzny zwłok zmarłego w 1907 r. i pochowanego w Zakopanem postępowego pisarza litewskiego, Jonasa Biliunasa.

## — Prastyce

### WYSTAWA ŚREDNIOWIECZNEJ SZTUKI KOŚCIELNEJ

Dział sztuki średniowiecznej Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie otworzy w salach gmachu przy ul. Janiskawy wystawę średniowiecznej sztuki kościelnej, na którą składają się eksponaty wykonane albo znalezione na Pomorzu Zachodnim, pochodzące z okresu od poł. XIV wieku do pocz. XVI wieku.

W średniowieczu w Chociwolu w pow. stargardzkim znajdował się prawdopodobnie duży warsztat rzeźbiarski, który zasilał swoimi pracami wiele miejscowych kościołów. Z rąk tworzących tam artystów wyszła większość rzeźb pokazanych na wystawie. Między innymi rzeźba Chrystusa ukrzyżowanego, św. Andrzeja i Matki Boskiej Bolesnej z kościoła we Włocławku oraz fragmenty tryptyku Matki Boskiej z Dzieciątkiem, św. Mikołaja i św. Marcina z okresu 1500 r. z kościoła w Dąbsku.

Na wystawie pokazano również liczne dzieła malarskie oraz rzeźbione i malowane tryptyki i poliptyki. Najciekawszym eksponatem jest krucyfiks debowy z XIV wieku z katedry w Kamieniu Pomorskim; jest to jeden z najcenniejszych zabytków tego rodzaju w kraju.

### ŚIEDEMNASTOWIECZNI REALIŚCI CHŁOPSCY

W ostatnich dniach we Francji, w mieście Reims, otwarto wystawę obrazów trzech braci Le Nain.

Nie wiele wiemy szczegółów o życiu tych sławnych malarzy chłopskich, wiadomo jednak, że pochodzili oni z okolic Laon, gdzie rodzice ich zajmowali się uprawą winorośli. Antoni Le Nain urodził się w 1588 r., Ludwik w 1593, a najmłodszy Mateusz w 1607 r.

Istnieją pewne poszlaki, że już w domu rodzinnym uczyli się rysować pod kierunkiem jakiegoś nieznanego flamandzkiego malarza. W roku 1630



Ludwik Le Nain — fragment obrazu „Posiłek wieśniaków”

przenieśli się do Paryża, gdzie założyli wspólna pracownię.

Wiele realizacji, bracia Le Nain, odcieli się od panującej w ówczesnym malarstwie mody nawiązywania do tematów zaczerpniętych z mitologii lub z życia dworu i większość swoich dzieł poświęcił odtwarzaniu scen z życia chłopów.

### PLASTYCY POLSCY W CZECHOSŁOWACJI

W ramach wymiany kulturalnej wyjechali do Czechosłowacji na 2-tygodniowy pobyt plastycy polscy: Walerian Borowczyk i Magdalena Wiecek. W czasie swego pobytu w Czechosłowacji plastycy nasi zapoznają się z dorobkiem i problemami współczesnej plastyki czechosłowackiej.

## — Wszystkim

### PAMIĘCI MAKSYMIA GORKIEGO

W dniu 18 czerwca minęła 17 rocznica śmierci wielkiego pisarza radzieckiego, twórcy literatury radzieckiej — Maksyma Gorkiego. Związek Pisarzy Radzieckich i Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego zorganizowały dnia 15

### WIECZÓR J. ANDRZEJEWSKIEGO W PRADZE

W Pradze odbył się wieczór literacki, na którym przebywający w Czechosłowacji Jerzy Andrzejewski zapoznał pisarzy i krytyków czechosłowackich z problemami współczesnej literatury polskiej.

### WIEC POŚWIECONY PAMIĘCI M. GORKIEGO W DELHI

18 czerwca na placu Ghandiego w Delhi odbył się masowy wiec poświęcony pamięci Maksyma Gorkiego, zorganizowany przez Ogólnohinduskie Zrzeszenie Pisarzy Postępowych.

Przewodniczący wiecu, znany pisarz hinduski, B. D. Czaturvedi powiedział, że: „Gorki jest nie tylko chluba Rosjan, lecz i chluba całej ludzkości”. Na zakończenie wiecu odbył się wieczór twórczości pisarzy, poetów, śpiewaków i muzyków.

### WYSTAWA KSIĄŻKI RADZIECKIEJ W LONDYNIE

Setki Anglików zwiedziły wystawę książek radzieckich, zorganizowaną przez firmę wydawniczą Collet.

Wystawa obejmowała około 500 wydań radzieckich, w tej liczbie utwory klasyków rosyjskich i pisarzy radzieckich, literaturę naukowo-techniczną w języku rosyjskim i angielskim, książki z dziedziny historii i geografii Związku Radzieckiego, książki dziecięce oraz przekłady utworów klasyków literatury obcej.

Największą popularnością na wystawie cieszył się dział książek dziecięcych. Odwiedzający zachwycali się wysoką jakością książek wydawanych dla dzieci i specjalnie podkreślali ich niską cenę.

### SUKCES BARBARY HESSE-BUKOWSKIEJ W PARYŻU

Barbara Hesse-Bukowska na Konkursie Muzycznym im. Margeritte Long i Jacques Thibaud w Paryżu osiągnęła znaczny sukces zdobywając na grodzie chrpinowską. W ogólnej klasyfikacji polska pianistka zajęła piąte miejsce.

# Drzwi gnieźnieńskie

DANSTWOWY Instytut Wydawniczy rozpoczął edycję serii pod nazwą „Klejnoty sztuki polskiej”. Ukazał się właśnie pierwszy jej tom — album „Drzwi Gnieźnieńskie”. Ładnie zaprojektowana (szkoda, że nie podano przez kogo) obwoluta, porządna okładka, dobry papier, krótki a rzetelnie informujący wstęp, 62 udane tablice ilustracyjne (duża ilość fotografii szczegółowych, uwzględniono nawet obramienia), niemały (25 tys.) nakład, przystępna



Drzwi gnieźnieńskie, szczegół obramienia. Praca w winnicy

urzędzie cena (20 zł) — już choćby wszystkim to przy pierwszym oglądzie widoczne cechy albumu każą cieszyć się, że wartościowa książka wyszła opracowana starannie i — w najlepszym tego słowa znaczeniu — popularnie.

Witając tę nowość z prawdziwym uznaniem, przede wszystkim jednak cenimy fakt, że wiele obiecującą serię zainicjował właśnie ten album. — Zdobiące dziś potworny portal katedry gnieźnieńskiej — sławne drzwi należą do najbardziej cennych zabytków sztuki średniowiecznej, w całej zaś Europie nie ma równych im wartości, jeśli chodzi o stare odlewy z brązu. Drzwi gnieźnieńskie pochodzą z pierwszej połowy XII w., fundacją ich przypisuje się Bolesławowi Krzywoustemu lub Jakubowi ze Żnina, ówczesnemu arcybiskupowi Gniezna. Tak czy inaczej — powstanie zabytku wiąże się z okresem wzmocnienia kultury

1) większość zdjęć — poza archiwalnymi — wykonali Mirosław Kopydowski.

św. Wojciecha. Dzisiejsi historycy sztuki zgadzają się tu zasadniczo z tą niezwykle trafną i odkrywcą koncepcją Lelwela, pierwszego autora większej na ten temat rozprawy napisanej w Brukseli w r. 1850. Nowsze badania wprowadzają tylko inną hipotezę dotyczącą środowiska artystycznego, w którego kręgu powstały. Najprawdopodobniej wiec — zwiadcujemy je przeszczerpionym na teren Polski wpływem sztuki pogranicza belgijskiego, tak zwanej „szkoły mozańskiej”.

Jednolite zasady kompozycji całości pozwalają przypuszczać, że drzwi gnieźnieńskie projektował jeden artysta, nad ich zaś wykonaniem — na co wskazuje nierówne pod względem plastycznym opracowanie dzieła — trudziło się co najmniej trzech ludzi o różnym stopniu opanowania rzemiosła. — Odlew jest pomysły w ten sposób, że układa się w opowieść o życiu św. Wojciecha. Składa się z dwu wyraźnych cykli: pierwszy — to utrzymane w tonie spokojnej narracji wydarzenia poprzedzające przybycie świętego do Gniezna i drugi — dzieje akcji misyjnej, zakończone sceną przewiezienia do Polski zwłok zamordowanego biskupa. W tym drugim cyklu zwraca uwagę dynamiczne traktowanie tematu z wyraźną tendencją sugestywnego ukazania stopniowo narastających konfliktów. Zdumiewa tu bogactwo plastycznej charakterystyki stanów psychicznych postaci.

Drzwi gnieźnieńskie są unikatem i z innych jeszcze powodów: większość średniowiecznych drzwi kościelnych ozdabia przedstawienia tematów biblijnych, drzwi natomiast gnieźnieńskie wyłamują się z ogólnie przyjętego wówczas zwyczaju swym wyraźnym programem ikonograficznym. — Poza tym — cykl płaskorzeźb pozwala na nowe odczytanie legendy o św. Wojciechu: dominuje tu myśl nie dydaktyczno-dewocyjna, lecz raczej troska o utrzymanie charakteru dokumentalnego, co podkreślają troskliwie obrabione realia.

Pisząc te krótkie wzmianki o „Drzwiach gnieźnieńskich” informację o zabytku czernano z wspomnianego już wstępu, którego autorem jest Tadeusz Dobrzeński. — Zainteresowanym czytelnikom, jeśli nie słyszeli oni jeszcze o powstającej bibliotece „Klejnotów sztuki polskiej” — trudno się może wiadomości, że następne tomy, będące obecnie w przygotowaniu, to m.in.: „Głowy wawelskie”, „Fenecjaneczy zamek wawelski”, „Kaplica Zwamuntowska”, „Matejki „Kazanie Skargi” oraz „Grunwald”, „Frombork — miasto Kopernika”.